

RODZINA

TYGODNIK

Nr 43 (381) ROK VIII WARSZAWA, 22.X.1967. CENA ZŁ 2

KATOLICKI





**BIERMOWANIE
W BUKOWIE MORSKIM**

Bukowo Morskie to mała wioska rybacka w odległości 25 km od Koszalina, położona między jeziorem o tej samej nazwie i Morzem Bałtyckim. Jej historia sięga czasów Księcia Świętopelka Gdańskiego II, który pobudował tu kościół w 1250 r. dla zakonu Cystersów. Służy on dziś parafii Kościoła polskokatolickiego pw. Najświętszego Serca Jezusa.

Parafia powstała cztery lata temu. Proboszczem od chwili założenia parafii jest ks. Jan Materek. Przejął on Kościół zupełnie zdewastowany. Obecnie świątynia została odnowiona. Z funduszy parafialnych zakupiono paramenty i szaty liturgiczne, założono światło, postawiono dwa ołtarze.

27 sierpnia wizytował parafię ks. bp. F. Koc, ordynariusz diecezji wrocławskiej. Ks. Biskup udzielił bierzmowania i zachęcił wiernych do wytrwałej pracy dla dobra Kościoła i Polski.

DEPEZA SPÓJNI

Sejm P.N. Spójni nadesłał do Naczelnego Biskupa Kościoła Polskokatolickiego w Polsce ks. bp. Juliana Pękali depeszę, w której m. in. czytamy:

„Cieszymy się, iż mamy możliwość dać dowód swej miłości dla Polski, budując w Moczydle-Zarkach świątynię ku czci nieśmiertelnej pamięci — biskupa Hodura. Żywimy nadzieję, że nasza współpraca dla dobra naszego ludu będzie obfitowała w zdrowe owoce. Szczęść Boże — Józef Stachura — przewodniczący sejmku. Scranton Pa.



NA NASZEJ OKŁADCE:
Odlot Jaskółek — drzeworyt, tytuł — St. Chrostowski Ostoja.
Fot. H. ROMANOWSKI

KATECHIZM HOLENDERSKI

Nowy katechizm holenderski dla dorosłych obejmuje 600 str. druku i jest dziełem biskupów teologów, psychologów, duchownych i świeckich. Stanowi on doskonale przygotowanie do małżeństwa, daje bogaty materiał do rozmów z niekatolikami do dyskusji ekumenicznych, dostarcza tematu do rozmyślań. Oczywiście, że nie jest to katechizm starego typu w formie gotowych pytań i odpowiedzi. Jest to „książka okresu dialogu“, która w wielu wypadkach nie daje ostatecznych rozwiązań.

Anonimowa grupa katolików wniosła skargę do Rzymu, że katechizm zawiera błędy dogmatyczne. Komisja kardynalska bada słuszność zarzutów. Z tego też powodu odmówiono na razie „imprimatur“ dla niemieckiego tłumaczenia omawianego katechizmu. Dr W. Bless, jezuita, dyrektor Instytutu Katechetycznego w Nijmegen wyraził ubolewanie, że „biskupi holenderscy nie zostali oficjalnie poinformowani o trudnościach związanych z nowym katechizmem. „Kolegium autorskie w Holandii gotowe jest do otwartej dyskusji nad sformułowaniami Katechizmu, które budzą wątpliwości — jeśli Rzym wystąpi z inicjatywą takich rozmów“.

**KONFERENCJA
ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU
REFORMOWANEGO**

We Włoszech, w małej miejscowości piemonckiej, Torre Pellice, odbyła się europejska Konferencja Światowego Związku Reformowanego. W Konferencji uczestniczyło 200 przedstawicieli z 29 Kościołów reformowanych. Poza problemem odnowienia życia Kościelnego uczestnicy obrad zastanawiali się nad stosunkiem do Kościoła rzymskokatolickiego.

**ATENAGORAS
ODWIEDZI NRF**

Patriarcha Konstantynopola Atenagoras przyjął zaproszenie Rady Kościoła Ewangelickiego

do odwiedzenia NRF. Patriarcha nie wyznaczył jednak terminu swej wizyty, zaznaczając, że nastąpi ona „w odpowiednim czasie, gdy Bóg pozwoli“. Ustalona już trasa podróży patriarchy prowadzi do Moskwy, Belgradu, Bukaresztu i Sofii.

**KONFERENCJA
TOWARZYSTW BIBLIJNYCH**

W Szwajcarii odbyła się europejska konferencja Towarzystw Biblijnych. Tematem obrad była „Rola Biblii we współczesnych społeczeństwach europejskich“.

Z Polski brał udział w Konferencji ks. prof. W. Niemczyk.

WALKA O ŚWIĘTYCH

W parafii Quetzaltenango (Gwatemala) z okazji przebudowy wnętrza kościoła postanowiono przenieść figury świętych z ołtarzy i umieścić je w niszach na bocznych ścianach. Na tym tle wybuchła walka wśród parafian, ponieważ część przeciwników sięgnęła się wypędzania świętych.

15 osób zostało ciężko rannych. Na pole walki wkroczyła policja aresztując 44 krewkich obrońców świętych.

MORMONI

Przewodniczącym Północnoniemieckiej Misji Mormonów czyli „Świętych Dnia Ostatniego“ — (jak Mormoni nazywają sami siebie) został Amerykanin Stanley D. Rees, dyrektor firmy płyt muzycznych w stanie Utah.

Sekta ta, która przypisuje Biblii ograniczone znaczenie, a jako pismo św. cześci książkę Mormona, liczy w NRF — 22.500 wyznawców, w NRF — 4 tys., w Szwajcarii i Austrii — 2.250.

Główną kwaterą Misji jest Frankfurt. Według danych ze źródeł Mormonów ogólna liczba wyznawców w świecie wynosi 2,5 mln.

10 LAT MIESIĘCZNIKA „JEDNOTA“

We wrześniu br. miesięcznik „Jednota“ — organ prasowy Kościoła ewangelicko-reformowanego w Polsce obchodził swój jubileusz dziesięciolecia wznowienia wydawanego już przed wojną miesięcznika „Jednota“. Pismo to poświęcone jest sprawom polskiego ewangelicyzmu i ekumenizmu.

Mimo, iż wydawcą jest Kościół ewangelicko-reformowany, „Jednota“ nie posiada charakteru pisma konfesyjnego jak inne tego rodzaju pisma. „Jednota“ wyszła z ciasnego konfesjonalizmu, zajmuje się zagadnieniami ogólnochrześcijańskimi.

Na łamach miesięcznika — spotykamy artykuły zarówno o treści czysto religijnej, jak i artykuły poświęcone sprawom społecznym, kultury narodowej. „Jednota“ prowadzi stały serwis informacyjny z życia innych Kościołów chrześcijańskich w Polsce. Propaguje również działalność Światowej Rady Kościołów. Od chwili powstania Chrześcijańskiej Konferencji Północnej miesięcznik „Jednota“ sporo uwagi poświęca temu ruchowi.

Redaktorem naczelnym pisma jest ks. Jan Niewieczermal — superintendent Kościoła ewangelicko-reformowanego w Polsce oraz Prezes Polskiej Rady Ekumenicznej.

Z okazji jubileuszu zespołowi redakcyjnemu miesięcznika „Jednota“ składamy wyrazy uznania i życzymy sukcesów w dalszej pracy w krzewieniu myśli ekumenicznej w Polsce.

Instytut Wydawniczy „Odrodzenie“
Redakcja Tygodnika „Rodzina“

WIARA — CZY PRZESĄDY?

EWANGELIA

WEDŁUG ŚW. MATEUSZA (9, 18—26)

Onego czasu: Gdy Jezus mówił do rzesz, oto książe pewien przystąpił i pokłonił Mu się, mówiąc: Pani, córka moja chwilę temu skonała, ale pójdź, włóż na nią rękę Twoją, a żyć będzie. A wstawszy Jezus, szedł za nim wraz z uczniami swymi. I oto niewiasta, która przez dwanaście lat cierpiała na krwotok, podeszła z tyłu i dotknęła się kraju szaty Jego. Bo mówiła sobie w duszy: Byłem się tylko dotknęła Jego szaty, będę zdrowa. A Jezus, obróciwszy się i ujrzawszy ją, rzekł: Ufaj, córko, wiara twoja uzdrowiła cię. I uzdrowiona była niewiasta od onej godziny. A gdy Jezus przybył do domu księcia i ujrzął fletnistów i tłum zgłębki czyniący, mówił: Odstąpcie, nie umarła bowiem dziewczeczka, ale śpi. I wyśmiewano się z Niego. A gdy tłum wyrzucono, wszedł i ujął rękę jej, i powstała dziewczeczka. I rozeszła się wieść o tym po wszystkiej onej ziemi.



pisane w dzisiejszej ewangelii dwa cudowne zdarzenia nie wymagają komentarzy, ponieważ są same w sobie zupełnie proste i zrozumiałe: oto po prostu nadprzyrodzoną mocą dysponuje Bóg-

-Człowiek w dowolny sposób przekonując naocznym swych słuchaczy o swym boskim posłannictwie. Jednak zdarzenie opowiedziane na początku dzisiejszej perykopy ze względu na okoliczności wydaje się mieć dla nas, ludzi XX stulecia, sens pouczający z punktu widzenia religijności praktycznej. Mianowicie szerzą się dziś coraz bardziej wśród wierzących, również wśród katolików, talizmaniczność i przesady. Jest to oczywiście wynik braku dostatecznego religijnego wykształcenia — objaw niepokojący — zwłaszcza że mimo soborów, synodów, zjazdów i konferencji, na których debatują zawzięcie duchowni — tak mało dotąd zrobiono na polu uświadomienia religijnego wiernych, tak mało im wyjaśniono, doksztalcono i nie pogłębiono ich prymitywnych wierzeń.

„Pójdę do Komunii św. — rozumują ludzie — i będę świętsza, bo zetknę się z samą świętością — Jezusem Chrystusem”.

„Mam egzamin przed sobą — powiadają inni — wystarczy, że się pomodłę do Matki Boskiej, a zdam na pewno”.

„Jestem obłożnie chory — twierdzą jeszcze inni — odprawię nowennę do św. Judy, Tadeusza, dam na mszę św., lub złożę Bogu jakiś ślub — a odzyskam zdrowie”.

Wszystkie powyższe rozumowania byłyby słuszne i jak najbardziej prawdziwe, gdyby — podobnie jak w ewangelijnym przykładzie — opierały się na silnej wierze. Niewiasta ewangelijna głęboko wierzyła w boską moc Chrystusa, dlatego jej zabiegi uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Dotknięcie przez nią szaty Chrystusowej było jedynie okazją do dokonania się cudu, ale podstawą cudu była głęboka wiara owej niewiasty. Tymczasem w naszym rozumowaniu często okazują się starczyć za wszystko. Wiara w nas albo bardzo mała, albo nie ma jej wcale i dlatego tyle niewysłuchanych modłów, tyle zmarnowanych

Komunii, próżnych nowenn, bezskutecznych mszy i ślubów. To wszystko nie ma samo z siebie mocy, by nam pomóc — moc temu nadać może jedynie i wyłącznie Chrystus, Bóg, w którego trzeba wierzyć, według wiary żyć i postępować. Bóg nie może wobec nas postępować jak przyjaciel, jak dobroczyńca, skoro my jesteśmy z Nim w niezgodzie przez grzech, lub co gorsza, gdy Mu w ogóle nie dowierzamy.

Cuda możliwe są i dziś, więcej, one dokonują się w nas! Wszak każda pomoc Boża pochodząca ze sfery nadprzyrodzoności jest już cudem. Możemy na pewno również zmniejszyć liczbę naszych rozczarowań i zawodów życiowych, gdy w miejsce talizmaniczności, objawiającej się w przesadnym kulcie relikwii, świętych, pielgrzymkach, całowaniu obrazów, paleniu wotywnych świec itp., wprowadzimy rzetelną pobożność opartą na żywej wierze w Boga, jako najlepszego naszego Ojca i Przyjaciela.

Czy to oznacza, że nie będziemy cierpieć, że przez życie pójdziemy jak po drodze kwiatami usłanej? Bynajmniej! Cierpienie będzie istniało na Ziemi. Technika i wiedza mogą zrobić zadziwiające postępy, systemy społeczne mogą uleczyć wiele bolączek, ale choroby, klęski i śmierć, a więc cierpienia, zawsze będą towarzyszyć ludzkości. Cierpienie było, jest i pozostanie właściwe człowiekowi. Chrześcijaństwo nie znosi cierpienia, nie obiecuje rajy na ziemi — ono uczy go unikać, uczy cierpieć z Chrystusem, żebyśmy zasłużyli sobie na żywot wieczny.

Wielu powiada: Z Chrystusem i dla Chrystusa cierpiełbym, ale dla ludzi, z powodu ich złośliwości mam cierpieć? Z jakiej racji? Popatrzmy na Chrystusa! Jego opuszczonego, zdradzonego, źli ludzie pojмали i sponiewieranego ukrzyżowali. Czy Chrystus skarżył się? Nie! Przyjął cierpienia i przez nie zbawił świat. Przyjmujemy i my nasze cierpienia i zbawiamy za pomocą cierpienia nasze dusze.

Czym jeszcze cierpienie może być dla nas w życiu? Urabia ono, wydoskonala, niejako rzeźbi nasz chrześcijański charakter. Zdaje się, że ludzi, którzy nie cierpieli, życie dotknęło tylko powierzchwni ich duszy. Najczęściej ich uczucia nie są stałe, serca ich nie

znają tliwości ani litości, zaś umysł ich nie posiada głębi myśli. Wszystko w nich jest powierzchowne; widać płytkość i lekomyślność życiową. Bo dla urobienia charakterów wielkich, dusz silnych i serc dobrych zawsze potrzeba było cierpienia. Niejedno serce zwykłego człowieka jest tak twarde, nieczułe na niedolę bliźniego, póki samo nie pocierpi. Umiejmy cierpieć, a uszlachetnimy nasze serca, stanimy się wyrozumiali, wybaczący, pełni miłości dla naszego bliźniego. Podobnie, jak kowal w ogniu hartuje stal, tak Bóg, zsyłając na nas cierpienia, wzmacnia naszą wolę i wyrabia w nas wielki, prawdziwie chrześcijański charakter.

O, gdybyśmy potrafili uświęcać nasze cierpienia i podnosić się z ich pomocą do Boga! Niestety, choć wszyscy cierpimy, nieliczni tylko odnoszą pożytek z cierpienia. Nie mamy takiej wiary, jak pewien nieuleczalnie chory młodzieniec. Pisał on do swego przyjaciela, również sparalizowanego: „Wiesz, drogi, gdy powiem osobom odwieczającym mnie, że wcale nie czuję się nieszczęśliwy, i że w każdym stanie, w każdym położeniu można znajdować szczęście, jeżeli się potrafi szukać go tam, gdzie ono jest, tzn. w Bogu, wtedy, mój drogi, na twarzy moich gości maluje się zdziwienie, jakiś niepokój, zakłopotanie, czy przypadkiem choroba moja nie rzuciła mi się na mózg...” I pisze dalej: „Kto jak wy posiadał szczęście rozumienia potrzeby i wartości cierpienia, jest naprawdę uprzywilejowany i powinien być za to bezgranicznie Bogu wdzięczny”. Tak! Do nich to i podobnych na pewno odnosi się Słowa Chrystusa Pana: „Albowiem smutek wasz w radość się zamieni”. Bóg jest nieskończenie mądry, a Chrystus wszechpotężny, skoro czyni takie cuda, że ludzie krzyż nie tylko chętnie przyjmują, ale umieją go ukochać, a nawet poszukiwać go i pragnąć, choć z natury swojej czują odrazę do bólu.

Nie zapominajmy, że cierpienie uszlachetnia i uświęca duszę ogniem swego bólu, wypala złe przywiązania do rzeczy znikomych i przemijających, a podnosi nas do spraw wiecznych, zbliża serca nasze do Boga i jest jedną — choć nie jedyną drogą do wiecznego szczęścia. Niewiasta mówiła w przeczytanej nam dziś ewangelii: „Byłbym Go się dotknęła, a będę zdrowa”. I my chcijmy się zbliżyć do Niego, gdy cierpimy, a niewątpliwie On nas i uleczy, i pocieszy, i łzę osuszy — bo jest dobrym i wszechmocnym Bogiem naszym, a my Jego dziećmi. Jednak idźmy do Jezusa z wiarą a nie z przesadą, wiara bowiem jest wartością świadcząca o nas dobrze, a przesada jest płytki i hańbiący imię chrześcijańska.

Ks. M. P.

PAŹDZIERNIK

N	22	Filipa, Korduli
Pn	23	Teodora, Seweryna
W	24	Rafała, Marcina
Śr	25	Kryspina, Bonifacego
Cz	26	Lucjana, Ewerysta
P	27	Sabiny, Wincentego
S	28	Tadeusza, Szymona



Arcybiskup Tananarive i prezydent Tsiranana

CHRZEŚCIJAŃSTWO NA MADAGASKARZE

Mówiąc o przynależności ludzi do tego czy innego Kościoła chrześcijańskiego, popełniamy zwykle bardzo zasadniczy błąd: liczymy liczbę ochrzczonych, a nie pytamy o intensywność przeżyć religijnych, o faktyczną świadomość i konsekwentną przynależność. Jeśli mówimy, że centralny Madagaskar jest właściwie krajem chrześcijańskim, ulegamy złudzeniu sugerując się danymi statystycznymi. A jak jest w rzeczywistości? Jacy są chrześcijanie malgascy?

Oczywiście, łatwiej jest liczyć ochrzczonych, niż dociekać kto jest prawdziwym chrześcijaninem. Nie wynaleziono dotychczas urządzenia sprawdzającego przekonania człowieka, intensywność jego przeżyć. W tym zakresie jesteśmy skazani na obserwację, która może być błędna, na oświadczenia i wyznania ludzi obserwowanych, które nie muszą być szczere. Te niedoskonałe (— ale jedynie dostępne) sposoby badania doprowadziły obserwatorów do wniosku, że konsekwentna, głęboka wiara jest zjawiskiem dość rzadkim wśród chrześcijan malgaskich. „Powierzchniowo Kościół ten przedstawia się niemal imponująco — mówią obserwatorzy — ale są to tylko pozory. Formalizm i sentymentalizm hierze się często za konsekwentne przekonania... Co może pozostać z zasad katechizmu, których chrześcijanie malgascy uczą się na pamięć w wieku dziecięcym, nie bardzo rozumiejąc, czego się uczą?” „Chcilibyśmy — mówią misjonarze katolicki — zaszczerpić religię w możliwie najszybszym czasie, nie zdając sobie sprawy z psychologii i cywilizacji Malgaszów. Przywiązaliśmy wagę do statystyk, nie doceniając konieczności pogłębienia wiary... A jaki jest tego efekt? — Nasi chrześcijanie nie przestali czcić zmarłych przodków, składać ofiar ze zwierząt... W ich życiu wiara chrześcijańska współistnieje z pogańskimi obyczajami. — Uczyliśmy religii jako katalogu nakazów i zakazów, a nie jako uczestnictwa w Bogu i współistnienia z Bogiem”.

Jeden z księży malgaskich przyznał: „Jeśli poziom religijny młodzieży nie podniesie się, Kościół szybko straci ich jako wyznawców. Dla większości nastolatków religia jest sprawą rodzic



Barwne i oryginalne stroje malgaskich kobiet

ców, spod których wpływu starają się uwolnić. Wiara osobista i głęboka jest rzeczą rzadką”.

Działalność misyjna protestantów na Madagaskarze przechodziła różne koleje. Przez pewien czas protestantyzm był nawet religią państwową, co doprowadziło do „nawrócenia” przedstawicieli klas posiadających. Właściwa działalność misyjna protestantów przypada na XIX stulecie. W latach 1820—1831 misjonarze protestanci dokonali tłumaczenia biblii na język malgaski. Następnie przedstawiciele różnych denominacji zawarli układ dzielący wyspę na strefy wpływów: luteranie otrzymali południe, misja londyńska i kwakrzy — wyżyny centralne, misja francuska — rejony północne, anglikanie zaś — wschód. Obecnie Kościoły protestanckie na Madagaskarze zmierzają do zjednoczenia swych poczynań misyjnych i zjednoczenia protestantyzmu malgaskiego.

Trudności, które trapią Kościół katolicki, przeżywa również protestantyzm. „Nasze trudności są jeszcze większe — oświadcza pastor malgaski, który wiele lat przeżywał we Francji. — My po-

siadamy parafie rodzinne, świątynie, do których uczęszczają tylko pewne rodziny (68 świątyń w samej stolicy Tananarive)... Ludzie uczęszczają na nabożeństwa, ale sam nie wiem, w co wierzą”.

Kościół protestancki w większym stopniu niż Kościół katolicki są zrośnięte z terenem dzięki temu, że posiadają więcej duchownych-autochtonów i bardziej angażują świeckich w życie kościelne. Fakt pierwszy ma również swoje ujemne strony. Pastorzy malgascy wyhietani spośród wiernych i ordynowani po czteroletnich studiach nie grzeszą znajomością teologii i nie odznaczają się specjalnie wysokim poziomem intelektualnym. Tak wyglądała sytuacja do ostatnich lat.

EKUMENIZM — PROBLEM DELIKATNY

Protestantyzm i katolicyzm stykają się w życiu codziennym na każdym kroku. Nierzadko w jednej rodzinie spotyka się wyznawców protestantyzmu i katolicyzmu. Mimo oporu misjonarzy katolickich i pastorów protestanckich małżeństwa mieszane były bardzo częste. Niejednokrotnie były one okazją do zmiany religii.

męczeński

Kościół

Waldensów

Kościół Waldensów zawdzięcza swe powstanie kupcowi lyońskiemu Piotrowi Valdo, o którym nie wiadomo, czy jego właściwe nazwisko brzmiało Valdés czy Vaudés. Obserwacja świata i rozczytywanie się w Piśmie świętym doprowadziły Piotra Valdo do przekonania, że chrześcijanie zatrucili ducha chrześcijańskiego, że oficjalny Kościół zszedł na manowce. Tylko życie zgodne z ewangelią, w całkowitym ubóstwie, może zapewnić ludziom zbawienie. Zwolenników Piotra Valdo, którzy tworzyli apostołskie wspólnoty i starali się jak najściślej wcielać w życie zasady ewangeliczne nazwano „biedakami Chrystusa”. Zarówno władze państwowe jak i Kościół katolicki

wypowiedziały Waldensom ostrą walkę, dopatrując się w ich postępowaniu przewrotności i niebezpieczeństwa dla ustalonego porządku.

Niewielka garstka Waldensów zamieszkała w Alpach ocalała z pogromu w XVI w. Waldensi wystąpili jako zwolennicy reformacji. Okres rozwoju i spokojnej pracy nad umocnieniem swego stanu posiadania trwał jednak krótko. W tym samym wieku wybuchły nowe prześladowania. Niedostępne góry i możliwość wycofania się przed represjami raz na stronę włoską to znowu na pogranicze francuskie uratowały Waldensów od ostatecznej zagłady.

HONOROWY PRYMAT PAPIEŻA

Biskup anglikańskiej diecezji w Kalifornii (USA) Kilmer Meyers wypowiedział się za zjednoczeniem chrześcijan przy uznaniu honorowego prymatu papieża. W przemówieniu telewizyjnym Meyers podkreślił, że zjednoczenie świata chrześcijańskiego bez uznania stanowiska papieża jest niemożliwe. W imię wspólnoty i jedności protestanci muszą uznać papieża jako duchowego zwierzchnika wszystkich chrześcijan.

Podobną opinię reprezentuje syryjsko-prawosławny metropolita Ameryki Płn. Filip Saliba. Oświadczył on, że zagadnienie nieomyślności nie stanowi przeszkody do zjednoczenia Kościoła prawosławnego i katolickiego. Według nauki ortodoksyjnej nieomyślny jest sam Kościół, który wypowiedział się przez usta swych zjednoczonych biskupów, a nie sam papież. Jeśli ten dylemat zostanie rozwiązany, zjednoczenie prawosławnych z Kościołem katolickim przestanie być problemem.

Wypowiedź wspomnianych wyżej biskupów jest zgodna z deklaracją Utrechcką Kościoła starokatolickiego (24 września 1889 r.), która m. in. stwierdziła:

„Odrzucamy dekrety watykańskie z 18 lipca 1870 r. o nieomyślności i powszechnym biskupstwie czyli wszechwładzy rzymskiego papieża jako pozostające w sprzeczności z zasadami pierwotnego kościoła. Nie przeszkadza to nam jednak w uznaniu historycznego prymatu, który przynależało biskupowi rzymskiemu jako pierwszemu między równymi (primus inter pares) sobory ekumeniczne i ojcowie pierwotnego Kościoła za aprobatą całej społeczności kościelnej I stulecia.

— „Zależy od Kościoła rzymskiego — stwierdza Starokatolicka Gazeta Kościelna” (Wyd. NRF) — czy zechce przyjąć wspomniane propozycje zjednoczeniowe pochodzące z Kościoła anglikańskiego i protestanckiego.

Jeżeli zechce przyjąć te propozycje, to musi w pierwszym rzędzie uwolnić od ekskomuniki niemieckich teologów, którzy stanęli po stronie Döllingera i katolików, którzy po 1870 roku pozostali wierni starej katolickiej wierze.

SKĄD TYLKO KOŚCIOŁÓW

SPOŁECZNOŚĆ EWANGELICKA I KOŚCIÓŁ BOŻY

Poza wymienionymi już dotychczas wyznaniem powstałymi w wyniku pietystycznego ruchu w łonie protestantyzmu należy wymienić jeszcze dwie wspólnoty religijne, zorganizowane w XIX wieku na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Są nimi: Społeczność Ewangelicka i Kościół Boży.

Głosząc na wzór niemieckich pietystów potrzebę „przebudzenia religijnego”, amerykańscy protestanci (luteranie i prezbiterianie) organizowali osobne Koła w łonie zborów, zwane „społecznościami chrześcijańskimi”. Koła te odbywały nabożne zebrania, podczas których ludzie świeccy (laicy) głosili kazania, rozmyślano nad wersjami biblijnymi i śpiewano religijne pieśni. Niekiedy pomiędzy „społecznością religijną” a miejscowym pastorem dochodziło do konfliktu i powstawała wtedy nowa wspólnota wyznaniowa przybierająca nazwę Kościoła.

W 1807 r. dwaj amerykańscy luteranie, Jakub Albright i Gustaw Miller, zorganizowali samodzielne wyznanie pietystyczne i nazwali je Społecznością Ewangelicką. W 1809 r. opracowali zasady i porządek kościelny nowego Kościoła, lecz nie stworzyli nic oryginalnego. Pozostawił zasady wiary luteranckiej oraz luterancki ustrój synodalno-episkopalny. Niemniej powstało nowe wyznanie, które w 1946 r. połączyło się z baptystycznym Kościołem Zjednoczonych Braci w Chrystusie, a w ten sposób ukazał się jeszcze jeden Kościół zwany Ewangelickim Zjednoczonym Kościołem Braci. Liczy on w USA około miliona zwolenników, a w innych krajach — około trzystu tysięcy.

Przeciwko dalszemu rozdrabnianiu chrześcijaństwa w XIX wieku wystąpił amerykański kaznodzieja, Dawid Warner. Dążył on do zjednoczenia wyznań ewangelickich w jeden Kościół, ale w wyniku jego zabiegów powstało jeszcze jedno nowe wyznanie zwane Kościołem Bożym.

Warner przypuszczał, że warunkiem zjednoczenia jest ustalenie kilku podstawowych zasad wiary chrześcijańskiej uznawanych przez wszystkich protestantów. Ustalił więc, że wszyscy przyjmują Biblię jako źródło Objawienia, wszyscy uznają naukę o Trójcy św. a więc i o Chrystusie jako Synu Bożym, wszyscy wierzą w odpuszczenie grzechów i w sankcje wieczne po śmierci. Te więc artykuły wiary należy przyjąć za bazę zjednoczenia organizacyjnego i stworzyć jeden „Kościół Boży”. Z liturgii przyjął trzy Sakramenty: chrzest (tylko dorosłych), Wieczerzę Pańską i obmywanie nóg.

Myśl ta spodobała się wielu protestantom z rozmaitych wyznań. Poczęto tworzyć „Kościół Boży”, lecz okazało się, że zamiast unii wytworzyło się nowe rozbięcie i że zamiast jednego „Kościoła Bożego” powstało wiele zrzeszeń zborów nazywających się „Kościółem Bożym”, ale nie okazujących żadnej chęci do współpracy.

Z tej próby wynika, że zbytnia swoboda w interpretacji Biblii oraz ustrój kongregacyjny nie sprzyja zjednoczeniu chrześcijaństwa, lecz wręcz odwrotnie, rozbiła go i paraliżuje działalność kościelną taką, jaka rozwijała się przed dwudziestoma wiekami

Oliczalnymi przedstawicielami Kościołów unikali kontaktów i zblżenia. Przyczyną tego faktu była zarówno konkurencja zawodowa jak i chęć utrzymania swych wiernych w przywiązaniu do wyznawanej wiary, która miała być ta jedynie prawdziwą wiarą. Ruch ekumeniczny likwiduje istniejące bariery, chociaż bardzo powoli i bardzo ostrożnie. Postęp w tym zakresie może spowodować nieochluzalne szkody i zamiast do jedności, może doprowadzić do zubożenia religijnego lub do synkretyzmu. Wierni malgascy mówią: „Kościół uznaje obecnie, że protestanci mają rację. Naśladuje ich. Księża ubierają się jak pastory, świątynie stają się coraz bardziej podobne do świątyni protestanckich, a więc kłamano nam niegdyś ucząc, że protestantyzm jest herezją...” „Musimy w tej sytuacji — stwierdza biskup katolicki — postępować bardzo oględnie, sądzę, że najlepszym sposobem zblżenia jest pogłębienie wiary wśród wyznawców, nauczanie ich, aby żyli jak prawdziwi katolicy, względnie jak prawdziwi protestanci. Poza tym należy rozszerzyć kontakty zwłaszcza w dziedzinie społecznej, charytatywnej, aby ludzie nabrali do siebie zaufania. Wspólne odprawianie nabożeństw jest jeszcze na razie nie do pomyslenia.”

W POSZUKIWANIU DUSZY MALGASKIEJ

Jezuita Duhois od wielu lat badał zwyczaje i kultury malgaskie. Jego zdaniem wiele symboli tzw. pogańskich może znaleźć zastosowanie w chrześcijaństwie i bez większych trudności można będzie nadać im znaczenie chrześcijańskie.

„Malgascy mogą zrozumieć tajemnice chrześcijańskie łatwiej niż pewni chrześcijanie — mówi ks. Duhois. Posiadają oni pojęcie Boga — Stwórcy, będącego źródłem wszelkiego życia, bardzo zblżone do pojęć chrześcijańskich. Łatwo wyjaśnić im — w nawiązaniu do ich wierzeń — czym jest „święty obcowanie”, czym jest łaska, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, tajemnica Trójcy św. Kiedyś przyszła do mnie stara kobieta i oświadczyła: Ojciec, ja jeszcze nie zostałam wszczepiona. Oznaczało to: nie zostałam ochrzczona. Nauczając o chrzcie mówiłem, że są to drugie narodziny. Określenie to nie znajdowało zrozumienia. Ale „wszczepienie w Chrystusa” było pojęciem zrozumiałym”

Obserwacje ks. Duhois powinny doprowadzić do zmiany tradycyjnej katechezy. Mentalność Malgasców i sposób ich reagowania jest inny niż ludzi na Zachodzie, co powinno być uwzględnione przy nauczaniu zasad religii.

Zauważono również, że zachodni sposób życia zakonnego absolutnie nie odpowiada Malgasczom. Podjęto więc próby stworzenia nowej organizacji. Jeden z zakonników ulokował się w wiosce Vohiperio w domu podobnym do innych domów wiejskich, połowę czasu poświęcając na praktyki religijne według obowiązującej reguły, drugą połowę na pracę z ludem. Ten sposób życia znalazł naśladowców wśród Malgasców. Trzeba więc szukać zblżenia, szukać duszy malgaskiej i dróg do niej wiodących. Najlepsze nawet metody wypracowane na Zachodzie nie mają zastosowania na Madagaskarze.

Protestanci i katolicy mają do rozwiązania na Madagaskarze wiele jednakowych lub przynajmniej podobnych problemów: Jak pogłębić wiarę w duszach wyznawców? Jak utrwalić przywiązanie do Kościoła? Jak utrzymać młodzież w wierze w Chrystusa?

„Zadania są wielkie — powiedział jeden z biskupów. Dotychczas nic nie zostało stracone, ale i nic nie zostało zrobione.”

W 1848 r. uzyskali Waldensi pełnię praw obywatelskich i rozpoczęli intensywną działalność misyjną. Obecnie liczą 30 tys. wyznawców. Główne skupisko znajduje się we Włoszech, gdzie posiadają 100 gmin ponad stu księży i ewangelistów oraz 800 starszych i diakonów. 6,5 tys. Waldensów żyje w Argentynie i Urugwaju.

Po wojnie, która spowodowała poważne straty wśród Waldensów, Kościół ich przeżywa bardzo intensywny rozwój przede wszystkim w zakresie odnowy życia religijnego i moralnego. W Riesi (płd. Sycylia) Waldensi zorganizowali „wieś doświadczal-

na” ze szkołą, szpitalem, domem sierot i starców.

Dzięki nim powstało również Agape — ośrodek młodzieżowy założony przed 20 laty, który stał się centrum spotkań i dyskusji młodzieży chrześcijańskiej.

Waldensi podjęli bardzo szczerzy dialog ekumeniczny mający na celu nie tylko konfrontację zasad z innymi Kościołami, ale także pogłębienie zrozumienia ewangelii i ducha Chrystusowego we własnych szeregach. Dialog w rozumieniu Waldensów jest wspólnym poszukiwaniem misji zleconej Kościołowi przez Chrystusa.

taka Rzeczpospolita

jakie młodzieży

chowanie

Wyniki egzaminów tegorocznych kandydatów na wyższe uczelnie wywołały zaniepokojenie i ożywioną dyskusję na temat, kto ponosi odpowiedzialność za stosunkowo niski poziom przygotowania młodzieży.

Rektorzy wielu uczelni ocenili to przygotowanie JAKO NIEDOBRE I GORSZE NIŻ W ROKU UBIEGŁYM. Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego prof. dr H. Jabłoński odpowiadając na pytanie, jak oceniają nauczyciele wyniki egzaminacyjne, powołał się na ocenę „jednego z wnikliwych obserwatorów egzaminów na Politechnice Warszawskiej”, który oświadczył: „Nie jest gorzej niż w latach poprzednich. Stan nie jest alarmowy, muszą jednak przyznać, że wyniki egzaminów nie napawają optymizmem”. Nietrudno zauważyć, że przytoczone oceny różnią się między sobą, ale nawet te bardziej ostrożne i wyważone — nie mówiąc o opiniach skrajnych — nie dopuszczają, aby nad tym problemem można byłoby przejść do porządku dziennego.

Na łamach „Polityki” opublikował swe „refleksje o przyczynach obniżenia się poziomu wiedzy studentów” — doc. dr Anatol Gosiewski w artykule pt.: „Utopia rozszerzona”. Docent Gosiewski stwierdza „permanentne obniżanie się od pewnego czasu poziomu wiedzy studentów” i odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obciąża szkołę średnią i to nie programy nauczania, ale realizację i realizatorów programów. A więc nauczycieli. Trudno zaprzeczyć słuszności twierdzeniu, że „końcowy rezultat będzie zawsze korzystniejszy przy dobrej realizacji gorszego programu niż złej, nie fachowej realizacji — nawet najlepszego”.

Po tej samej linii rozumowania poszedł Krzysztof Kostyrko. (Nurt 9/1967), twierdząc że przypisywanie strukturalnej organizacyjnej i programowej obowiązującej w szkolnictwie decydującego znaczenia dla poziomu wykształcenia jest zupełnie nieuzasadnionym

Wyższe uczelnie w Polsce zatrudniają ok. 20 tys. pracowników nauki, w tym profesorów i docentów prawie 4 tys., adiunktów i asystentów — 16 tys.

przesądem. „Najistotniejszy jest poziom pracy pedagogicznej — pisze Kostyrko — kształtowanie właściwej postawy poznawczej u wychowanków, nie zaś realizowanie litery programu.

Doc. Gosiewski nie ulega przesądowi: o wynikach nauczania decyduje człowiek i właśnie człowiek zawodzi. „W okresie przedwojennym — pisze — nauczycielstwo polskie, pracując w niełatwych warunkach społecznych, reprezentowało w istotnej mierze postępową, awangardową część polskiej inteligencji, wyrastając niemalże bezpośrednio z tradycji polskiego pozytywizmu. Dla przedwojennego absolwenta polonistyki czy matematyki wybór zawodu nauczyciela był bardzo często czymś naturalnym, nie wynikającym z sytuacji przymusowych i nie budzącym wewnętrznego protestu. Był wyborem świadomym. Z kolei znanych jest niewiele przypadków wybitnych karter uniwersyteckich, wywodzących się bezpośrednio z „pokoju nauczycielskiego”. Jak jest obecnie? Przede wszystkim radykalna zmiana

statusu społecznego i gospodarczego kraju uczyniła z zawodu nauczyciela po prostu jeden z zawodów, na pewno nie najważniejszy. Jednocześnie „ofensywa oświatowa” narzucała konieczność masowego kształcenia nauczycieli poprzez uruchomienie wszelkiego rodzaju liceów pedagogicznych, przyspieszonych studiów i kursów nauczycielskich, których poziom pozostawia — ostrożnie mówiąc — wiele do życzenia...”

Wpowiedź docenta Gosiewskiego spowodowała całą lawinę listów. „Polityka” opublikowała „ciekawsze” z nich.

Mgr E. Walczuk — jak sam oświadcza — „kompletny laik w sprawach szkolnictwa” — na wysoką nutę wychwala nauczycieli, że z powołania, że ideowi, że sprawa pensji to w ogóle dla nich temat wstydlivy, że cechuje ich wysoki poziom wykształcenia, że „o pracy nauczycieli w obecnych warunkach można mówić tylko w samych superlatywach”. Swoją ociekającą lakierem wypowiedź kończy trochę jak Pytla, a trochę jak typowy dyskutant.

„Mówiąc delikatnie — oświadcza ob. Walczuk — ignorowanie zamarkowanych faktów i zjawisk, tak istotnych dla sytuacji naszego szkolnictwa średniego i podstawowego może świadczyć o braku zorientowania o wybujałym sentymentalizmie do czasów, które przeminęły z wiatrem u poniektórych dyskutantów.” U poniektórych, niestety, nie przeminęły.

Drugim głosem negatywnym w stosunku do sformułowań doc. A. Gosiewskiego jest wypowiedź p. Gertrudy Wichary, nauczycielki Liccum Pedagogicznego w Świdnicy. Jest to niewątpliwie głos pro domo sua, w obronie własnego podwórka — w pewnych fragmentach dość rzeczowy, w innych jednak zdradzający chyba rozdrażnienie i jakby nadąsanie, że ktoś ośmielił się mówić krytycznie.

Pozostali cytowani przez „Politykę” dyskutanci przyznają słuszność doc. Gosiewskiemu (również — nauczyciele). Najbardziej charakterystyczny jest głos p. Mariana Krawczyka z Warszawy, który wyznaje: „Pracując ponad 50 lat w szkolnictwie i to stale w dziale kształcenia nauczycieli, z przykrością stwierdzam, że dobrzy nauczyciele „dla których szkoła jest... — swojego rodzaju powołaniem...” to przede wszystkim nauczyciele starszego pokolenia, którzy prawie zawsze z ogromnym wysił-

W bieżącym roku na I roku studiować będzie ok. 70 tys. studentów, w tym 40 tys. na studiach dziennych.

kiem osobistym, bez stypendiów stołówek, mieszkaniowych i innych dobijali się dyplomu nauczycielskiego...”

Postaramy się teraz uporządkować dyskusyjne refleksje i uwagi. Nie od rzeczy może będzie zacząć to porządkowanie zastrzeżeniem, które chronić winno przed niepotrzebnym wzburzeniem krwi tych czytelników, którzy hołdują zasadzie lakiernictwa i wobec najbardziej racjonalnej krytyki mają jedno zawołanie: świętości nie szargać. Stwierdzimy więc, że pragnęlibyśmy, aby kadra nauczycielska była mo-

żliwie najlepsza, najbardziej ideowa, najbardziej wykształcona, bo od niej w ogromnym stopniu zależy przyszłość naszego narodu. Wszelka krytyka pod adresem tej kadry wypływa z troski o dobro narodu. Bylibyśmy szkodnikami, gdybyśmy widzieli wady i błędy, i zamykali na nie oczy. Rzecz idzie o wielką stawkę i wielką sprawę. Tak rozumują wszyscy, którzy dyskutują na temat szkoły, wychowania i nauczania w szkole, asług i wad nauczycieli. Niestety, trzeba o tym przypominać, bo inaczej ktoś zaraz krzyknie: świętości nie szargać.

A teraz o właściwym zagadnieniu.

— Stosunkowo niski poziom wiedzy zaobserwowany u kandydatów na studia wyższe jest wynikiem niewłaściwego nauczania w szkole średniej. Odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarcza się nauczycieli.

Nie ma co lakierować i nie ma potrzeby się obrażać. Takie są fakty i taka jest ich logiczna wymowa. Stwierdzając te fakty nie zarzucamy szkołom ani nauczycielom złej woli, niedbalstwa, świadomego lekceważenia swych obowiązków. Nie. Jest to po prostu nieumiejętność, brak przygotowania. (Dotyczy to oczywiście tylko pewnej części nauczycieli, nie wszystkich).

— W dyskusji stwierdza się, że najczęściej zawodzi młode pokolenie nauczycieli.

Nadzorując od szeregu lat zakłady kształcenia nauczycieli — pisze p. M. Krawczyk — obserwuję stale obniżający się poziom kandydatów. Zgłaszają się w przeważającej ilości tacy kandydaci, którym nie powiodły się usiłowania wejścia do innych intratniejszych i cieszących się większym prestiżem zawodów. Traktują więc zawód nauczycielski jako zło konieczne, „dopust boży”...

Jest to bardzo zasadnicza uwaga. Cytowaliśmy kiedyś na tym miejscu oświadczenia uczniów (studentów) Studium Nauczyciel-

Na wyższych uczelniach w r. 1966/67 studiowało 274,5 tys. osób, w tym na studiach dziennych — 166 tys., na studiach dla pracujących — 108,4 tys.

skiego w Ciechanowie, z których niezbitcie wynikało, że większość młodych kandydatów na nauczycieli znalazła się przypadkiem w SN. Najczęściej dlatego, że gdzie indziej nie mogli się dostać, bo przepadli przy egzaminie. Cóż dziwnego, że później przepadają ich uczniowie? Można wiele różnorakich wniosków wyciągnąć i z dyskusji, i z zaobserwowanych faktów. Kuratorzy zgłosili między innymi wniosek zacieśnienia współpracy szkół wyższych i średnich. Wniosek na pewno słuszny, ale jego realizacja nie usunie zła i błędów nauczania. Trzeba chyba zacząć od korzeni, od doboru kadry nauczycielskiej, od jej szkolenia. — Na pewno przyczyni się do podniesienia prestiżu nauczyciela, społecznej rangi jego zawodu — fakt, że uczelnie kształcące nauczycieli skończą z dotychczasową praktyką przyjmowania odpadów — z innych uczelni.

— Drugim warunkiem jest zapewnienie kadry nauczycielskiej odpowiedniego poziomu wykształcenia.

I wreszcie:

— Wnikliwa kontrola nauczania.

Red. M. Kozakiewicz pisał niedawno w „Głosie Nauczycielskim”, że na temat rzeczywistego poziomu nauki w szkole niewiele wiemy. To dosyć tragiczne stwierdzenie, świadczące, że trzeba bić na alarm, bo w codziennej krzątaninie giną z pola widzenia rzeczy bardzo istotne.

W Polsce istnieje 76 wyższych uczelni.

Szkoła jest oczkiem w głowie i rządu PRL i społeczeństwa. Stąd — powszechne zainteresowanie. Stąd też troska o jej poziom i o jej przyszłość, bo „takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie”.



RECEPTA „NA SZCZĘŚCIE”

Jak długo istnieje ludzkość, tak długo przewija się przez dążenia i marzenia poszczególnych jednostek jedno pragnienie — chęć osiągnięcia szczęścia...

Każdy wyobraża je sobie inaczej, każdy przykrawa je na swoją miarę. Poszczególne epoki tworzyły swój własny odrębny model szczęścia, a czas i miejsce wyciskały na nim swe piętno.

Nazywano je różnie: zadowoleniem z siebie i życia, osiągnięciem celu, spełnieniem pragnień, ale żadne z tych sformułowań nie oddawało istoty szczęścia, będąc najwyżej jedną z jego składowych części.

Wreszcie wyprano pojęcie szczęścia tak doszczętnie z wszelkich realnych treści i tak je wyidealizowano, iż stało się ono jakby becziesnym mirażem, ulotnym i nieuchwytnym, którego można najwyżej pragnąć, lecz osiągnąć — nie sposób...

Czy szczęście jest rzeczywiście pojęciem tak nierealnym i niedościgłym — jak nauczyliśmy się mniemać? Czy ten stan ducha i umysłu, w którym znajdujemy się w idealnej harmonii z sobą i światem jest czymś tak nietrwałym, że aż nieprawdziwym?

Wydaje się, że każdy z nas ma w swej podświadomości głęboko zaszczipiony obraz swego własnego szczęścia. Marzenie — składające się jak mozaika z ogromnej ilości małych kamyczków — które złożone razem dają wzór piękna i harmonii.

Każdy z nas ponadto miał w swoim życiu chwilę, gdy tę pełnię swego szczęścia odczuwał intensywnie — gdy jednocześnie wiedział podświadomie, że jest to moment szczególny, który być może nigdy się już nie powtórzy.

Szczęście bowiem, niezmacone, trwałe — przestałoby być szczęściem, zamieniając się w stan — nie wahajmy się użyć tych słów — jałowej nudy.

Idealne pojęcia malujące „szczęście” jako stan niezmaconej błogości — stoją w rażącej sprzeczności z całym naszym życiem, które im bardziej czynne, im bardziej rozmaite, im bardziej trudne lecz pasjonujące — tym bardziej cenne, dające większą satysfakcję i żywszą radość.

Idealistyczne obrazki przedstawiające rozmarzonego młodziana leżącego w cieniu drzew i wpatrującego się w zachód słońca — budzą w nas instynktowny sprzeciw. Może to być chwila szczęścia, gdy znużony wędrowiec wypoczywa w otoczeniu piękna przyrody — ale nasze wewnętrzne wyobrażenia dodają zaraz — że odpoczywa **po** czy **przed** czekającym go trudem — nigdy zaś, że **stale**...

Niezmienna trwałość niesie za sobą nieuchronnie nudę, ospałość i co gorsza — przeżać. Stan, w którym nic się nie zmienia i nic się nie dzieje, to chyba zaprzeczenie szczęścia? Najlapidarniej określił to G. B. Shaw, mówiąc: „Szczęście przez całe życie! Nikt by tego nie mógł znieść, to byłoby piekło na ziemi!”.

Nasze szczęście to szczęście czynne, nigdy bierne. To stan, gdy odczuwamy zadowolenie z siebie, ze swego działania, gdy nasze działanie jest celowe, doceniane i przynosi korzyść innym. Jest to zatem

pojęcie jak najbardziej realne, ściśle związane z rzeczywistością, z nami samymi, naszym życiem i postępowaniem.

Prof. Władysław Tatarkiewicz w swej znakomitej książce pt.: „O szczęściu”, rozpatrując możliwość istnienia jakichś, ogólnych, niezależnych od niczego źródeł szczęścia, tak twierdzi: „Czy są źródła szczęścia niezawodne, czyli takie, które by uszczęśliwiały w każdym, nawet najbardziej niepomysłnych warunkach życia i które by do szczęścia wystarczały?

Takich źródeł szczęścia nie ma.”

Czyli stan szczęścia jednostki jest jak najbardziej pojęciem realnym, związanym ściśle z warunkami i sposobem życia, stanem fizycznym oraz określoną sytuacją społeczną i ogólną.

Czy możemy więc w jakikolwiek sposób wpłynąć na to, by zbliżyć się do tego ideału, by odczuwać i przeżywać stan zadowolenia z życia? Bez odczuwania tego stanu bowiem, życie staje się swym zaprzeczeniem — upodabniając się do jakiejś długoterminowej kary.

Człowiek musi odczuwać nie przelotne, lecz w miarę możliwości częste chwile zadowolenia z życia, by czuł się zdrowy psychicznie, by wierzył w celowość i wagę spraw, które przedsięwzię, by mimo trudności i przeszkód, jakie zagrażają drodze do najmniejszego nawet celu, mógł odczuwać satysfakcję z jego osiągnięcia. Nie chodzi tu oczywiście o stan błędnego, bezmyślnego samozadowolenia, lecz nie można być trwale ogołoconym z zadowolenia i radości życia, bez groźby poważnych zwichnięć psychicznych.

Wiele jest czynników przynoszących zadowolenie z życia i każdy z nich jest sprawą indywidualną. Dla jednego będzie to np. postępowanie według pewnych trwałych, przemyślanych zasad, choćby w konkretnym przypadku miało mu to przynieść nawet szkodę. Mimo tego, taki człowiek, postępujący zgodnie ze swymi zasadami i sumieniem będzie takie zadowolenie odczuwał.

Ktoś inny osiągnie podstawowe zadowolenie z życia, gdy będzie przekonany, iż stale realizuje swoje wszelkie możliwości życiowe, wykorzystuje właściwie swe zdolności i osiąga stawiane przed sobą cele.

Zadowolenie lekarza — to każdy wyleczony przypadek, udana operacja czy ulga w cierpieniu przyniesiona choremu. Zapewne uczucie zadowolenia towarzyszy również uczonemu przy nowym odkryciu, otwierającym dalsze perspektywy badań. Architekt z dumą patrzy na nowe rozwiązanie przestrzenne, a budowniczy na lekki, ażurowy most spinający brzegi rzeki.

Czyż matka nie czuje pełni radości i wzruszenia na widok różowego i zdrowego dziecka gaworzącego w kolebce, a ojciec nie zasiada z pełnią satysfakcji do posiłku w gronie rodziny czerpiącej podstawy swego bytu z jego pracy?

Czyż więc każdy z nas nie odczuwa zadowolenia, jeżeli pracuje zgodnie ze swymi zainteresowaniami i zdolnościami w środowisku przyjaznym, oceniającym jego wyniki i stwarzającym odpowiednie bodźce do osiągnięcia coraz to lepszych rezultatów?

Jednakże tempo współczesnego życia oraz rodzinne i zawodowe kłopoty i konflikty wywołują w nas stan zdenerwowania, a wreszcie i wyczerpania psychicznego, który nie tylko nie pozwala nam odczuwać uczucia zadowolenia, lecz wręcz odwrotnie — stwarza stały stan napięcia, powodujący z kolei nowe kłopoty i wyczerpujący nas psychicznie aż do stanu chorób nerwowych włącznie.

Psychologowie i lekarze, badając te stany i warunki je powodujące, doszli do wniosku, iż walka z nimi jest możliwa, a nawet, że narzucenie sobie pewnej dyscypliny wewnętrznej i przestrzeganie kilku reguł prowadzi do rozładowania stanów napięcia, powodując uczucie odprężenia i przywracając radość życia.

Pozwolimy sobie podać tę swoistą receptę „na szczęście” w skrócie:

1. „Uciekajmy od sztywnej rutyny, monotonii i nudy. Urozmaicajmy swoje życie nieszkodliwymi przyjemnościami, zainteresowaniami i hobby.

2. W chwili powstania w nas uczucia złości, należy je wyładować na zewnątrz — lecz nie na innych. Np. gdy nas coś zdenerwuje zajmijmy się pracą fizyczną lub idźmy na krótki spacer.

3. Strzeżmy się wyolbrzymiania drobnych, codziennych kłopotów. Nie martwmy się na zapas!

4. Omawiajmy nasze troski z ludźmi życzliwymi. Rozmowa z kimś bliskim pozwoli spojrzeć na zmartwienie niejako „z boku”, a ujęcie kłopotu w słowa przyniesie ulgę.

5. Nie odkładajmy zbyt wielu spraw „na jutro” czy „na później”. Myśl o nie wykonanym zobowiązaniu czy pracy zatruje nam najlepszą zabawę i zniweczy odpoczynek.

6. Wieczór — czyli czas przed spoczynkiem musi być spokojny. Zakończmy wszystkie prace, zaplanujmy inne na jutro. Bezpośrednio przed snem spacer lub kąpiel.

7. Każdego dnia, najlepiej tuż przed snem, wygospodarujmy swoją „chwilę samotności”. Wyłączmy się z codziennych zajęć, pomyślmy o rzeczach pięknych i przyjemnych.

8. Bądźmy życzliwi dla innych. Zachowujmy z nimi dobre stosunki lub uprzejmy kontakt.”

A zatem powodzenia!

POPULARNOŚĆ TUTANCHAMONA

Miliony Francuzów zwiedziło wystawę skarbów Tutanchamona, które ZRA wypożyczyła Francji. Kim był Tutanchamon i czym tłumaczyć można zaciekawienie, jakie wzbudził wśród mieszkańców Francji?

Zaczął się od katastrofy samochodowej. Właściciel trzeciego zarejestrowanego samochodu w Anglii George Edward Stanhope Molyneux Herbert lord Carnavon szczęśliwie rozbil się na terenie Niemiec, a później wybrał się do Egiptu dla poratowania zdrowia. W r. 1906 zwerbował młodego egiptologa Howarda Cartera i rozpoczął eksploatację wyznaczonego terenu w Dolinie Królów. Na terenie tym działały i inne ekspedycje. Działały również przed przybyciem lorda Carnavon. Przede wszystkim zaś działali tu przez wieki różnego typu rabusie. Czy można więc dziwić się, że do wybuchu wojny największym odkryciem lordowskiej ekspedycji była mumia kota?

Ale lord miał pieniądze i był uparty. W listopadzie 1922 r. Carter dokopał się do jakichś zapieczętowanych drzwi. Natychmiast wezwał lorda, który w tym czasie

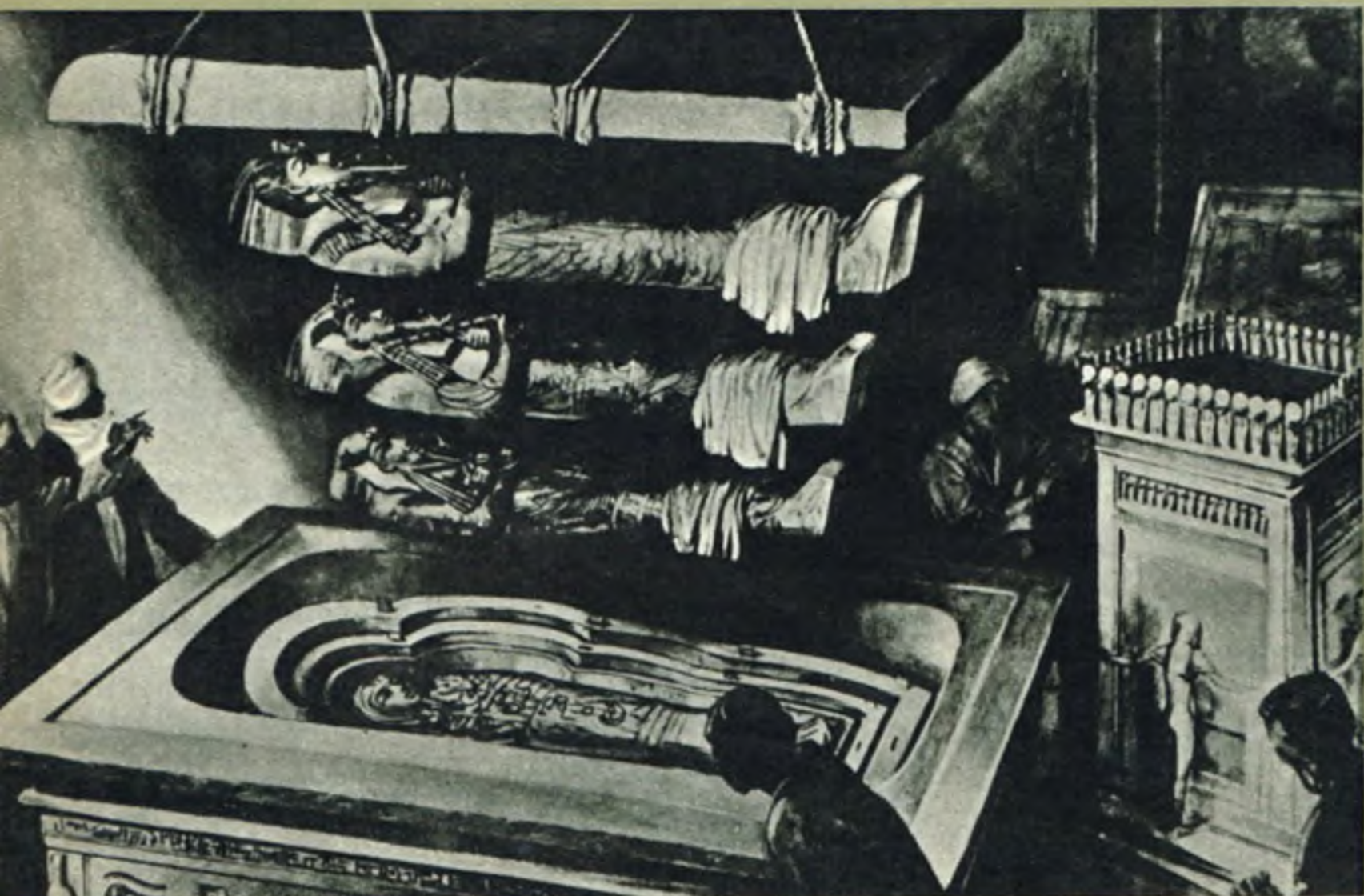
bawił w Anglii. Przy starannych oględzinach poszukiwacze dostrzegają na pieczęciach imię faraona — Tutanchamona. Zdenierwowanie wzrasta. Po odgruzowaniu 7,5-metrowego korytarza znowu zapieczętowane drzwi. Za nimi... komora pełna złota. Trzy złote łoża pokryte kosztownościami, skrzynie pełne bezcennych przedmiotów, tron, złote wazy, rydwany. Skatalogowanie zawartości zajęło trzy tygodnie.

17 lutego 1923 wybito otwór prowadzący do właściwego grobu. Tu po otwarciu czterech złotych skrzyń, skrytych jedna w drugiej, ujrano sarkofag z kwarcytu, a w nim trzy trumny: pierwsza z drewna złoconego, druga z drewna inkrustowanego złotem i drogimi kamieniami, trzecia z litego złota wagi 1110 kg. Dopiero w tej ostatniej znalazła się mumia faraona.

Tutanchamon żył zaledwie 19 lat — 1361 p.n.e. do 1341 p.n.e. Wstąpił na tron mając dziesięć lat. Po śmierci zwłoki starannie nasolono, wysuszono, wypchano gliną, pakułami i piaskiem, owinięto w bandaże i włożono do trumny. Zabieg mumifikacji trwał ponad 3 miesiące.



Odkrycie grobu Tutanchamona dało początek pewnej legendzie, że „każdego, kto zakłóca spokój faraona, spotyka śmierć”. Przed otwarciem grobu zmarł lord Carnavon. Po świetle rozniosła się wieść, że w tym samym czasie zdechł w Anglii wierny pies lorda. Wkrótce zmarł przyrodny brat lorda i jego córka. Gdy w dodatku w niedługim czasie pożegnał się z tym światem A. C. Mace, który pomagał przy otwieraniu komory grobowej — fakty te wystarczyły do ugruntowania legendy o kłątwie Tutanchamona grożącej wszystkim, którzy ośmielili się dotknąć jego grobu.



Spisek generałów



Prezydent Naser wśród wyższych oficerów

żony areszt domowy na Amara. Oficerowie ukrywający się w jego domu zostają aresztowani. Broń skonfiskowana.

Według oficjalnej wersji podanej przez dziennik Al Ahram aresztowano 181 osób, przede wszystkim oficerów, w tym również dowódców trzech armii, generałów: Sleiman Izzeta (marynarka), Mahmeda Sedki Mahmuda (lotnictwo), Abbel-Mohsena Kamela Mortagi (siły lądowe), ministra Badrama, b. ministra spraw wewnętrznych Abbas Radwana, szefa wywiadu Salah Nasr.

Aresztowań dokonały oddziały wojskowe. Aresztowani nie stawiali oporu.

14 września, gdy do domu marszałka Amara przybył naczelny dowódca sił zbrojnych generał Fawzi, aby doprowadzić marszałka na przesłuchanie, ten otruił się zażywając dużą dawkę środków nasennych.

Spisek generałów objął szerokie kręgi oficerów i chociaż w porę został unicestwiony, to jednak wytworzył ferment, który niewątpliwie jeszcze przez pewien czas będzie rzutował na sytuację wewnętrzną w Egipcie.

Jednym z celów agresji izraelskiej było obalenie Nasera. W pierwszym momencie zdawało się, że cel ten został osiągnięty: Naser gotów był podać się do dymisji. Ale naród egipski zdecydowanie żądał pozostania Nasera. Naród egipski wykażal w tym momencie ogromne wyrobienie polityczne i głęboki rozsądek. Nie podał się uczuciu rozpacz, ale skupił się wokół swego przywódcy gotów do obrony żywotnych interesów swej ojczyzny. Jednośta była nieodzowna również ze względu na sytuację wewnątrz państwa.

Wobec klęski na froncie Kair stanął wobec konieczności dokonania zmian w dowództwie armii i powołania na kierownicze stanowiska takich osób, które „potrafią opanować przodującą wiedzę wojskową”. Marszałkowi Amerowi zaproponowano, aby zachował stanowisko wiceprezydenta, ale zrezygnował z dowodzenia siłami zbrojnymi. Amer nie tylko że nie przyjął tej sugestii, ale gotował się do zamachu stanu. Jego rezydencja stała się siedzibą antynasersowskich poczynań oraz melina, gdzie gromadzono broń.

W pewnym momencie (26 sierpnia) Naser interweniuje. W obecności wiceprezydentów Zakariyi, Mohi ed-Dina i Husseina el-Shafei oraz przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Anwara Sadata zostaje nalo-

Leczenie za pomocą hipnozy

Do niedawna nikt nie traktował poważnie hipnozy, ponieważ posługiwali się nią różnego rodzaju szarlatanami dla wywołania sensacji lub wyłudzenia pieniędzy od naiwnych. Ostatnio nastąpiła zmiana w ocenie zjawiska i hipnoza stała się przedmiotem badań naukowych. Międzynarodowy Kongres Hipnozy w Paryżu (1965) uznał pełne prawa nowej dyscypliny naukowej zwanej hipnologią.

Hipnoza znajduje coraz szersze zastosowanie w medycynie. Stosuje się ją m. in. do leczenia alkoholików. W oparciu o metody stosowane w centrum badań hipnologicznych w Jenie, mgr inż. M. Szulc, kierowniczka Zakładu Chemii i Biochemii w AWF w Warszawie przeprowadziła kurację 8 nalogowych alkoholików. Zainteresowani sami wyrazili chęć leczenia się. Pięciu z nich w wieku 20-25 lat (wykształcenie zawodowe), zaczęło pić w wieku 13-17 lat. Jedem — lat 19, ukończył 10 klas, zaczął pić od 9 roku. Siódmy pacjent, lat 35, kierowca, pił od 13 roku. I ostatni, lat 42, niepełne wykształcenie podstawowe, pił od 14 roku życia (ten ostatni nie dotrwał do końca kuracji).

Kuracja trwała 5 mies. Przeprowadzano ją 1-2 razy w tygodniu, wprowadzając pacjenta w stan hipnozy, następnie zaś sugerując mu wstręt do alkoholu i możliwość przeciwstawienia się wpływom kolegów, namawiających do picia.

Kuracja dała dobre wyniki. Doświadczenia poczynione w różnych ośrodkach hipnologicznych wskazują, że leczenie alkoholików należy powtórzyć po upływie trzech lub pięciu lat.

„Zdrowotne właściwości oddziaływania hipnologicznego — pisze mgr inż. M. Szulc — polega na tym, że odpowiednio podane, potrafią wprowadzić w normalnie funkcjonującym układzie nerwowym stan hamowania ochronnego. Każdorazowo, gdy komórki nerwowe wchodzą w stan hamowania, następuje ich regeneracja. Nawet bardzo krótki okres hamowania pozwala organizmowi jakby „w hiegu” postarać się o odnowienie składu fizykochemicznego i przywrócić wydolność komórkom nerwowym”.

Pomoc dla rolnictwa

SCALENIE GRUNTÓW

Występujące u nas rozdrobnienie gospodarstw i działek oraz często wysoce uciążliwa szachownica gruntów obniża produkcyjne możliwości rolnictwa w wielu rejonach kraju. Obszar gruntów położonych w szachownicy wynosi ok. 6 mln. ha z czego połowa przypada na grunty ukształtowane szczególnie niekorzystnie. Uciążliwa szachownica występuje głównie w woj. warszawskim, łódzkim, lubelskim, białostockim, kieleckim, rzeszowskim i krakowskim, a częściowo w woj. poznańskim, bydgoskim, katowickim. Obejmuje ona ok. 3 mln. ha, w tym do 300 tys. ha pod miedziami, drogami polnymi, a więc nie wykorzystanych dla produkcji, czyli obszar równy blisko połowie gruntów ornych woj. opolskiego, gdańskiego lub szczecińskiego.

W związku z tym powinniśmy podjąć o możliwie szeroką skalę prace scaleniuowe, które stworzą drogę do dalszej intensyfikacji produkcji rolniczej. Podejmując taką decyzję trzeba też uwzględnić, że komasacja jest niezbędna dla racjonalnego rozwiązania sprawy nazbyt ekstensywnych gospodarstw indywidualnych.

Dzięki industrializacji otwarta została dla młodzieży wiejskiej szeroka droga do szkół i do nierolniczych zawodów. W ciągu ostatnich 20 lat odplynęło ze wsi do miast i do nowych zawodów ok. 10 mln. ludzi. W znacznej części gospodarstw pozostają jedynie ludzie starsi o zmniejszającej się zdolności do pracy. Z upływem lat coraz bardziej potrzebują oni innego zabezpieczenia na starość, niż praca na własnej ziemi, której im coraz trudniej podobać.

Są też gospodarstwa podupadłe wskutek losowych wypadków, niedostatecznego przygotowania właścicieli do pracy w rolniczym zawodzie, lub z innych istotnych przyczyn.

Mimo różnorodnej pomocy część właścicieli gospodarstw nie jest w stanie wykonać niezbędnych prac gruntów. Jeśli dzisiaj gospodarstwa te są dosyć dobre, to za kilka lat zaczną schodzić do rzędu podupadłych.

W celu zbadania poziomu produkcji rolniczej w różnych grupach gospodarstw i określenia zależności tego poziomu od zachodzących na wsi przemian, przeprowadzono odpowiednią ankietę. Wykazała ona że poważny odsetek gospodarstw osiąga poziom produkcji znacznie niższy od przeciętnego.

W grupie słabych gospodarstw uwidacznia się szczególnie niska obsada pogłowia zwierząt gospodarskich na 100 ha użytków rolnych. Inne charakterystyczne cechy gospodarstw o zanizonej produkcji to: gorsze wyposażenie w budynki inwentarskie, dość wysokie zadłużenie wobec państwa, bardzo niskie plony będące wynikiem niestosowania nowoczesnych zabiegów agrotechnicznych, bądź też wykonywanie ich z braku siły roboczej w nieodpowiednich terminach.

Ankieta wykazała także istnienie stosunkowo dużej ilości gospodarstw prowadzonych przez starszych właścicieli, którzy nie mają żadnych następców.

RENTY DLA ROLNIKÓW

Przy doborze środków gwarantujących rozwiązanie omawianego problemu należy uwzględnić, że gospodarstwa zagrożone

upadkiem nie mogą podnieść produkcji w oparciu o własne siły. Wobec tego zagospodarowanie tych terenów powinno przejąć na siebie państwo. To z kolei stawia na porządku dziennym sprawę warunków egzystencji dla dotychczasowych właścicieli gospodarstw. Zabezpieczeniem osób w podeszłym wieku mogą być renty przyznawane w zamian za przekazane państwu gospodarstwa.

Większość rolników zainteresowana będzie zapewne w dożywotnim utrzymywaniu dotychczasowego mieszkania i działki ziemi umożliwiającej prowadzenie przydomowego gospodarstwa.

Trzeba to uwzględnić i zapewnić prawo do korzystania z działki o obszarze do 1 ha. Z drugiej strony wprowadzić należy dodatek dla tych, którzy zrzekną się użytkownia działki i budynków.

Niektórzy właściciele większych gospodarstw są zainteresowani w zmniejszeniu ich obszaru z uwagi na brak siły roboczej lub podeszły wiek. Powinniśmy umożliwić im to, jeśli państwo ma warunki do racjonalnego zagospodarowania przejętych gruntów. Rolnik, który zamierza nadal gospodarować na zmniejszonym obszarze, powinien uzyskać odpowiednią rekompensatę.

Proponowany system rent ma na celu z jednej strony zapewnienie właścicielom gospodarstw zaopatrzenia na wypadek niezdolności do pracy. Z drugiej strony sprzyjać będzie planowemu i racjonalnemu zagospodarowaniu wszystkich gruntów, które w aktualnych warunkach nie są, bądź nie będą należycie wykorzystane dla produkcji.

(Z referatu Biura Politycznego wygłoszonego na IX Plenum KC PZPR)

SWIAT na którym żyjemy

P o dłuższych perswazjach żony dał się w końcu Blachfeld nakłonić do pójścia do teatru. Zadośćuczynił w ten sposób stanowisku profesorowej utrzymującej, że wyjazd do Niemiec powinien być poprzedzony kilkudniowym wypoczynkiem.

— A panna Liza przygotowuje nam coś dobrego na kolację — zleciła Blachfeldowa na odchodnym.

Przed zajęciem się kolacją Edna postanowiła, korzystając z nieobecności obojga gospodarzy, dokładnie przejrzeć wszystkie zakamarki szafy, w której rządziła wyłącznie Blachfeldowa, dbając o idealny, pedantyczny porządek. Ledwie zahrała się do otwarcia skarbca profesorowej dorobionym kluczem, dobiegło ją brzęczenie dzwonka. Podbiegła do drzwi i wyjrzała przez wizjerkę. Za drzwiami zobaczyła męską postać w czapce obszytej srebrnym galonikiem. Udała się do kuchni, do kieszeni w sukience włożyła odhepczony pistolet. Dzwonek się powtórzył, tym razem był dłuższy i jakby natrząszywy.

— Kto tam? — spytała nie otwierając.

— Urzędnik z gazowni.

„Oho, sprawdzają się przewidywania Whita” — przebiegło jej przez myśl.

— Państwa nie ma w domu — oświadczyła przybyszowi.

— To mi nie przeszkadza — odpowiedział głos zza drzwi — chciałbym tylko sprawdzić działalność gazomierza.

Ostrożnie wpuściła do korytarza przedstawiciela gazowni, starając się zawsze być za jego plecami. Kontroler liczników pokazał jej legitymację służbową i zażartował:

— Naprawdę jestem kontrolerem, a nie demonem udającym kontrolera...

— Jak to dobrze — skwitowała Edna — dzięki temu dusza wraca mi z pięt na swoje miejsce.

Kontroler sprawdził licznik, orzekł, że funkcjonuje bez zarzutu, coś zapisał w swoim notesie i z uśmiechem na ustach spojrzal na Ednę.

— Ja panią skądś znam...

— Ohawiam się, że to złudzenie — odpowiedziała zalotnie.

— Na pewno, na pewno nie złudzenie. Wnet sobie przypomnę... Już wiem. Widziałem panią w ogrodowej kawiarni, towarzyszył pani mężczyzna. Ohawiam się, że narzeczony... Marzyłem o tym, by panią gdzieś spotkać, piękna pani. I oto zbieg okoliczności spełnia moje marzenia...

— Mówi pan, że w kawiarni... — Edna przyjęła zainteresowany wyraz twarzy.

— Było to w poniedziałek...

— Zgadza się — zawolala. — Zgadza się. Ale wcale nie byłam z narzeczonym. Wtedy, proszę pana inspektora, pani profesorowa wysłała mnie po zakupy i natknęłam się na dawnego znajomego, ze swojej rodzinnej miejscowości...

— Z jakiej, bo ja też nie urodziłem się w Zurichu.

Edna nie odpowiadając na pytanie trąkotała dalej:

— Pytał mnie o mamę, o tatusia, rodzeństwo, krewniaków. Cha, cha, cha — roześmiała się — jak pan mógł myśleć, że to mój narzeczony? Taki straszny dziaduś. Mógłby być moim papą. Narzeczonego, ku mojej rozpaczy, nie ma — filuternie błysnęła oczami.

— Kontroler spojrzal na zegarek.

Jeśli pani pozwoli, postaram się zająć wakuujące miejsce. Chciałbym z panią poważnie pogadać. Może spotkamy się na mieście? Byłbym bardzo szczęśliwy...

— Gorsza sprawa, pani rzadko daje mi czas na własne potrzeby. Poza tym, przyznam się, jeszcze się nie oswoiłam z dużym miastem, mama nakazała mi unikać przypadkowych znajomości.

— Czy po to, żeby została pani starą panną?

— Bez obawy. W mojej rodzinnej miejscowości zawsze mnie mama komuś wyswata. Jeżeli chce pan ze mną trochę pogawędzić, nim profesorka powróci, proszę uprzejmie, wstąpmy do mnie, do służbówki.

Przez kilkanaście minut prowadzili zdawkową, hezprzedmiotową rozmowę, przekomarzając się. Edna niepostrzeżenie śledziła najmniejszy ruch kontrolera, w którego autentyczność nie wierzyła, wodziła swoim wzrokiem za jego wzrokiem i zastanawiała się nad prawdziwą przyczyną wizyty.

— Jak się pani czuje u profesorka Blachfeldów? — zapytał w pewnym momencie.

— Normalnie, roboty nie brakuje, państwo mieszkają grymasy, plaćą przeciętnie...

— Miałbym dla pani coś lepszego. Reflektowałyby pani?

— Byleby zmiana była oplacalna. Złieram forse na posag.

— Urządzą panią doskonale. Nie pożaluje pani rozstania się z Blachfeldami, o których często opowiada mi pewien użytkownik gazu.

— Czy opowiada jakieś pikantne historyjki z jego młodości? — Edna zwietrzyła, że wreszcie kontroler zaczyna odslaniać cel swojego przybycia.

— Nic z historyjek. Użytkownik gazu ma dużo pieniędzy i mało oleju w głowie. Taki hobbista... Rozmawiany jest w czytaniu wspomnień ludzi wszelkiej kategorii — młynarzy, konduktorów, pucyhutów, generałów, cyrkowców i ministrów, poczynawszy od czasów ojca Abrahama. Wykupuje stare druki i rękopisy, za samo przeczytanie, za wypożyczenie płaci kilkaset franków. Udaje socjologa i psychologa. Tuzinkowy maniak, nie wiedzący co robić z pieniędzmi. Za pamiętnik Blachfelda od dawna obiecuje mi dwa tysiące franków, prawie pięćset dolarów...

— To mój pan wydał pamiętnik? — udala lekkie zaciekawienie.

— Nie, nie wydał i to podnieca namiętność tamtego faceta. Profesor ma go w rękopisie.

— Niech pan zaproponuje profesorowi transakcję.

— Nawet nie chcę próbować, on taki niezrównoważony, gotów mnie oblać kwasem siarczanym.

— W takim razie nic pan nie zarobi.

— A może... Gdybym na przykład zaproponował pani spółkę? Pięćtora tysiąca dla pani, a pięćset franków dla mnie.

— Tylko tyle?

— I tak miałbym podwójną satysfakcję: zrobiłbym uciechę swojemu znajomemu i sporą kwotę odłożyłaby na posag piękna dziewczyna, która od dzisiejszego dnia, czuję to, stanie się najmiłszym lokatorem mojego serca. Dla niej to szansa...

— Kusząca szansa — odparła Edna — ale ja nie mam pojęcia, gdzie może znajdować się dziennik profesora.

— Tym bardziej ja nie mogę wiedzieć. Trzeba by poszukać.

A zatem?

Edna udawała, że się waha, zwlekając z decyzją, aż ponaglona przez kontrolera zdeklarowała się:

— Szansa może się nie powtórzyć. Będę szukata.

— Do wypożyczenia na dwa dni, ręczę słowem honoru.

Kiedy się zobaczymy?

D zisiejsze spotkanie zaaranżowaliśmy z rodziną, która właściwie od niedawna zdobyła sobie popularność i szczerą sympatię ogółu. Niemniej do łatwych ono nie należało, bo oboje niesłychanie zajęci i wprost nieuchwytni. Adrian Godlewska jest aktorką Teatru Ludowego; rano próby, wieczorem występy. Wojciech Młynarski uczestniczy w festiwalach piosenki, daje recitale, wyjeżdża na koncerty, a w międzyczasie jeszcze tworzy. W tej sytuacji pozostała nam jedynie córka, dwu- i półletnia Agata Młynarska, ale kiedy odwiedziłyśmy ją w Soplicowie na niedzielnym weekendzie Agatka była chora i również nie mogła udzielić nam wywiadu. Wreszcie się udało.

— Panie Wojtku, jak należy Pana przedstawić naszym czytelnikom?

— Prosiłbym o sympatyczne omówienie mojej postaci. A tak naprawdę to najwłaściwsze przedstawienie będzie chyba — autor tekstów we własnym repertuarze.

— Czy o takim zawodzie myślał Pan w młodości?

— Naturalnie: nie. Ukonstytuowanie, tak a nie inaczej mojej sylwetki jest dla mnie samego dużą niedopieczanką. No, cóż, życie często za nas decyduje. W szkole prowadziłem satyryczny kącik aktualności, coś w rodzaju dzisiejszego Wielokropka. Będąc studentem UW zrobiłem dla HYBRYD — na zasadzie dobrego członka — amatora — dwa programy: „Radosna gęba stabilizacji”, i „Ludzie to kupią”. Cztery lata temu na giełdzie piosenki w Opolu zaśpiewałem „Niedzielę na Głównym”. Była to dla mnie niebywała frajda, wszyscy przyjęli piosenkę spontanicznie, a we mnie utwierdziła się wówczas decyzja pozostania tym kim jestem.

— Iloma piosenkami Pan nas już wzbogacił i jak one powstają, przypadkiem?

— Wszystkich moich piosenek jest około dwustu, a powstają one najróżniej w świecie. Oczywiście najpierw rodzi się pomysł, a później cała reszta. Decydujące elementy tworzenia piosenki, to zmysł obserwacji, wyczulenie na rzeczy typowe, dynamiczne, a także wierne oddanie rzeczywistości. Wciąż poszukuję spraw obchodzących nieco szersze warstwy społeczne, dbając przy tym o wierną kopię współczesnego języka. Żeby piosenka była dobra, muszą być w niej również momenty dramatyzujące. Może powiem to na przykładzie. Od dłuższego czasu nosiłem w sobie zamysł przedarcia się przez formę, konwenans i nie wiedziałem na jakim przykładzie mam to przedstawić. Kiedyś przejeżdżałem przez miejscowość wczasową, wszedłem do restauracji na kolację i tam właśnie usłyszałem zapowiadającego z orkiestry — ...dla panny Krysi...

— Proszę powiedzieć nam jak Pan ocenia piosenkę w ogóle?

— Piosenka jest małym wydarzeniem, małą cegiełką, która się składa na cały układ kulturowy. Oczywiście nie uważam, że piosenka jest wszystkim, ale uważam, że piosenka jest jedną z form przekazania lu-

any dom

dziom prawdy. No, a poza tym piosenka literacka to bardzo ładny element w naszym życiu.

— A swoje piosenki ocenia pan z dużą treścią?

— Z potworną wprost treścią. I właściwie nigdy mnie ona nie opuszcza. Kiedy mam wyjść na estradę — treść, kiedy mam pisać — treść, kiedy daję do przeczytania — treść. Doszło do tego, że żyłem się już z nią i bez niej byłoby mi dziwnie. Najgorzej jest jednak wtedy, gdy chrzci się piosenkę, tzn. wykonuje się ją po raz pierwszy przed publicznością. Wówczas opanowuje mnie obłądana treść. Dzieje się tak dlatego, że swoją pracę traktuję poważnie; chcę zreferować w piosence jakąś sprawę i chcę, żeby się do niej ustosunkować, chcę żeby słuchających obeszła ta sprawa, żeby nie pozostali na nią obojętni.

— A kto pierwszy słucha Pana piosenek?

— Żona, siłą faktu. Zresztą żona ma bardzo trafne uwagi i dlatego często wtajemniczam ją w moje pomysły. Korzystam z danych mi wskazówek.

— Czy również korzysta pan z doświadczeń aktorskich żony?

— Opracowanie aktorskie moich piosenek przypisuję sobie, ale żona czuwa nad całością, czyli jest moim reżyserem. Cechuje mnie nadmiar ruchliwości, spontaniczność, mam dużo naraz pomysłów i łatwo mi się z tym wszystkim pogubić. Dlatego konsultacje z małżonką są mi niezbędne.

— Pani Wojtku, czy miewa pan zainteresowania pozapiosenkarskie?

— A jakże, miewam! Teatr, film — sztuka, która ogromnie mnie porusza, towarzystwo, dyskusje, a także — o czym jeszcze nikomu nie mówiłem — dobra kuchnia



i związana z nią piękna celebrazja. Grywam też chętnie w brydża i czytam. Gorzej natomiast jest z czasem.

— Pani Adrianno, to mąż taki smakosz? A w czym najbardziej gustuje?

— Na szczęście nie jest tak źle i jada bez specjalnych grymasów. Ale kiedy chcę się mężowi przypodobać, względnie usunąć zachmurzenie z jego czoła, to szybkoitko przyrządzam spaghetti z takimi różnymi różnościami i podaję czerwone wino. Zmiana jego wyrazu twarzy jest natychmiastowa.

— A co pani robi, pani Adrianno, poza przyrządzaniem mężowi przysmaków?

— Właściwie niewiele. Gram w teatrze Roxanę w Cyrano de Bergerac ze Stasiem Mikulskim, występuję w kabarecie „Dudek” i od czasu do czasu w TV.

— Czy w pani domu rozbrzmiewa piosenka?

— I jak jeszcze. Wszyscy śpiewają Wojtkę piosenki. Bardzo często łapię go na tym, jak się wykrzywia i robi różne gesty; każdą wolną chwilę traktuje jak próbę.

— Czy Agatka przejawia skłonności aktorskie czy piosenkarskie?

— Nasza Agatka ma przede wszystkim skłonności big-beatowe, a potem piosenkarskie. Ma oczywiście swoje ulubione piosen-

ki, które przez cały dzień niemal wyśpiewuje, np.: „W co się bawić” i piosenkę z filmu „Pieczone gołąbki” — ...kiedy ma się kochać Kasię i gdy Kasia kochać da się... Oczywiście piosenek dzieciennych nie uznaje, nie interesują jej. Agatka jest także bardzo elokwentna i to przypisuję skłonnościom aktorskim.

— Czy popularność cieszy, bawi czy mężczy — pytamy głowę domu?

— Nie zdążyliśmy się jeszcze do niej przyzwyczaić, bo istnieje ona właściwie od roku. Często w równym stopniu bawi i jest kłopotliwa. A kłopotliwa wtedy; gdy występuje jako niezdrowa sensacja, nie poparta sympatią. Nade wszystko jednak popularność jest rzeczą przyjemną, choć nie prześladam tego faktu. Dołożę wszelkich starań, aby zdobyty kredyt — utrzymać.

Podczas niedzielnego weekendu rozmawiała:

LMS

fotografował: Marek Końka



Filatelistyka dla wszystkich



psy i koty — rozpoczęły nową „galaż tematyczną” w filatelistyce. Piątego września nasza poczta wprowadziła do obiegu nową serię z tej grupy. Jest nią dziewięcioznaczkowa seria „kwiaty polne”. Na znaczkach są pokazane: mak polny, powój, fiołek trójbarwny, wrotycz pospolity, kakał, świerzbica polna, kurzyślak polny i cykorja podóznik. Nakład 1,2 miliona pełnych serii.

Poczta Malty wydała trzyznaczkową serię dla upamiętnienia 1500 rocznicy męczeńskiej śmierci św. Piotra i Pawła. Dwa znaczki przedstawiają sceny śmierci, trzeci insygnia obu Apostołów.

Holenderski Czerwony Krzyż obchodził setną rocznicę działalności. Z tej okazji poczta holenderska wydała pięcioznaczkową serię dopłatną. Znaczki wykonane są nowoczesną techniką graficzną. Dopłata na cele charytatywne.

Malarstwo nadal modne! Królestwo Jemenu wydało sześcioznaczkową serię przedstawiającą



obrazy Rembrandta z Galerii Narodowej w Londynie. Na znaczkach pokazano: 2 B — portret starego człowieka z 1659 roku, 4 B — autoportret z 1660 roku, 6 B — portret Jakuba Tripa, 10 B — stary człowiek w fotelu, 12 B — autoportret z 1640 roku i 20

B — kąpiąca się kobieta z 1654 roku. Nakład wykonano w arkusikach po 6 sztuk. Serię uzupełnia bloczek.

Dla marynistów poczta wysp Norfolk wydała czteroznaczkową serię przedstawiającą statki z reszłego stulecia: „The Norfolk”, „H. M. Survey Cutter Mermaid”, „Lady Franklin” i „The Morayshire”. Przy obecnej lawinie wydań niedługo będzie można zbierać okręty, samochody czy samoloty nie tylko według typów, lecz także według poszczególnych znanych, konkretnych egzemplarzy.

Jak wiadomo, poczta mini-republiki San Marino wydała w 1963 roku serię znaczków z motylami (Yvert 598—603), na których wbrew zwyczajowi nie podano ich nazw. Sprawa wydała się dopiero wtedy, gdy jeden z filatelistów zbierający „motyle” według naukowych zasad nie mógł ich odpowiednio zakwalifikować. Na listowne zapytanie otrzymał odpowiedź, że motyle pokazanych na znaczkach nie ma w przyrodzie i stworzyła je fantazja artysty-grafika.

Tegoroczny Dzień Znaczka poczta Kuby upamiętniła wydaniem serii



znaczków przedstawiających dawne pojazdy konne. Nakład 100 tysięcy.

W. G.

ODPOWIEDZI PRAWNIKA

PAN J. P. z Radlina — umorzenie dochodzenia przez prokuratora nie wyklucza skierowania sprawy — tak jak to zrobiła MO — do Kolegium Karno-Administracyjnego. Ponieważ orzeczenie Kolegium Karno-Administracyjnego jest już prawomocne, nie przysługuje Panu odwołanie i już nic w tej sprawie zrobić się nie da.

*

PAN E. W. Brodnica — Z opisanej przez Pana sytuacji wywnika, że nakaz kwaterunkowy powinien obecnie być wystawiony na Pana jako stałe zamieszkującego i ojca rodziny. Słusznie Pan postąpił, że się Pan odwołał.

*

Wszyscy pozostali Czytelnicy, którzy zwracali się do redakcji z prośbą o porady prawne, otrzymali odpowiedzi listowne.

*

Wytnij ten kupon. Opis dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

Od roku 1954 Poczta Polska emituje corocznie serie poświęcone florzem i faunie. Znaczki te cieszą się wzięciem z uwagi na ich dydaktyczny i estetyczny walor. Niektóre z tych serii „przyrodniczych” — jak

POZIOMO: 1) skazał Jezusa na śmierć, 4) osiadły chłop w Egipcie (w przeciwnieństwie do beduina), 8) utwór poetki, 9) kończy obiad, 10) rozmach, pęd, 11) szwajcarska złotówka, 12) jednostka wagi, 14) wibrujący głos, 16) cząstka pierwiastka chemicznego, 18) rasa psa, 20) wesele, 22) pasza albo choroba, 24) powinna dorównywać popytowi, 27) mie wojskowy, 28) kulista pieczęć przyczepiona do dokumentu, 29) kończy się w Balchaszu, 30) duchowny (wyższego stopnia) w kościele katolickim, 31) szata liturgiczna.

PIONOWO: 1) choroba przemiany materii, 2) pańska — ponoć na pstrym koniu jeździ, 3) materiał opalowy, 4) kościół parafialny, 5) człowiek świecki, 6) jednostka napięcia prądu elektrycznego, 7) dom dla przyjezdnych, 13) duże jezioro między Giżyckiem a Węgorzewem, 14) puls, 15) miasto powiatowe w woj. białostockim, 17) podłoże, 19) rodzaj tekstowej, najczęściej wierszowanej, rozrywki umysłowej, 20) gatunek nietoperza, 21) ma metalowe serce, 23) rarytas brydżowy, 24) projekt, zamiar, 25) ssak leśny, 26) kuzyn tysia.

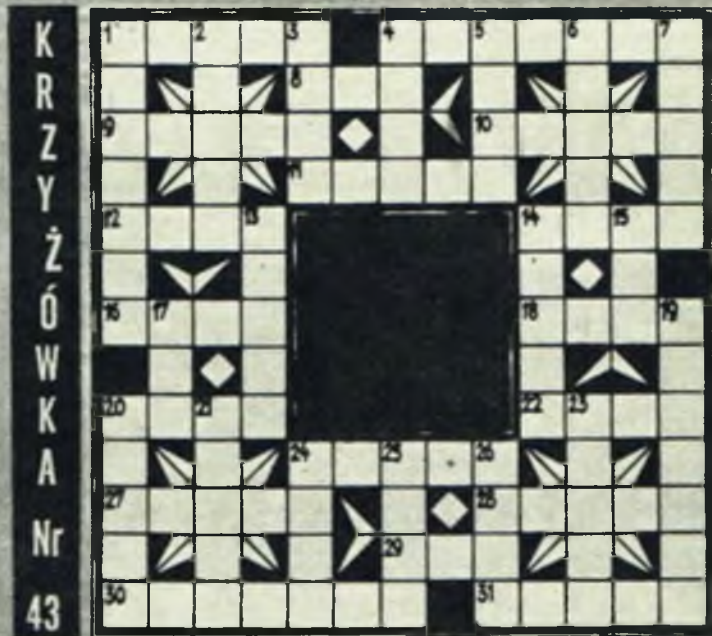
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 43”. Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda:

TERMOS

ROZWIĄZANIE KRZYŻOWKI NR 31

POZIOMO: upoważnienie, esperanto, suwak, por, obelisk, Ziu, tatuaz, owies, cos, agonia, zaćmienie, es, ariada, lawica, Anin, rektorat, Eldorado. **PIONOWO:** ubezpieczenie, odporność, a priori, nonsens, ehonił, insekt, Orkan, owczarnia, saga, IZ, Ewelina, canasta, CAS, Figaro, garota, miano, ład, wir.

Nagrodę w postaci maszynki wylosowała p. Waleria Jaročka — Rabka, pow. Nowy Targ, ul. Klisiczaków 5.





kamienne baby

Jedną z osobliwości pięknego parku w Nieborowie, dawniejszej rezydencji Radziwiłłów, są rzeźby, tzw. baby kamienne pochodzące z X i XI w., a ustawione tu w XIX wieku. Park założony przez Tylmana z Gameren w XVII wieku, został zrekonstruowany w 1950 r. Wśród starych lip, dębów i buków stoją omszałe kamienne dzi-

wadła, którym kształty nadawała ręka człowieka przed prawie tysiącem lat. I patrząc na te prymitywne, niedoskonale rzeźby zastanawiamy się jak wiele podobieństwa jest między tymi rzeźbami sprzed tysiąca lat, a dzisiejszą rzeźbą ludową i to nie tylko naszą rodzimą, ale prymitywizmem Afryki czy Ameryki.

NASZA RODZINKA

TERESKA

Spódniczka niebieska,
Wstążeczka czerwona,
Przecież to Tereska,
Znamy ją, to ona.

Na drewnianych deskach
Tańczą pary w tłumie,
Lecz tak jak Tereska
Tańczyć nikt nie umie.

Spódniczka niebieska
Kręci się ochoczo,
Spójrzcie, to, Tereska
Sprawia radość oczom.

Lecz wiedzą sąsiedzi
W domu na Górczewskiej,
Że kto ją odwiedzi —
Nie pozna Tereski.

Słysząc ją daleko,
Gdy krzyżeć zaczyna:
— Nie pójdę po mleko,
Idę dziś do kina.

W tramwaju Tereska
Pcha się niesłuchanie,
Podeptała pieska,
Szturcha starsze panie.

Miejsce ma siedzące,
Siedzi i nie wstanie.
— Co za wychowanie —
Mówią starsze panie.

Spódniczka niebieska,
Tę spódniczkę zna się,
To nasza Tereska
W całej swojej krasie.

Są takie, jak ona,
Niegreczne dziewczęta.
Znałam ich imiona,
Lecz już nie pamiętam.

AGNIJA BARTO

Przełożył JAN BRZECHWA





A TO ZABAWA DOSKONAŁA:

Z kartonu i kawałka sznurka oraz jakiejś kuleczki (np. piłki pingpongowej) możecie wykonać urządzenia do gry zręcznościowej. Sposób gry pokazuje rysunek.

Chodzi sarenka po borze
i pyta: — Buku, jaworze,
co to znów za figle, zbytki?!
Gdzie się ruszę, tam czy tu,
zeszłe liście pod kopytkiem
szu-szu-szu, szu-szu-szu... —

Cisza w górze... Czy na drzewach
nikt wśród liści nie zaśpiewa?...

Na to bury jeź się zbliżył.
— O, ciekawaś! Mały strzyżyk
będzie śpiewał piosnkę ładną
biednym listkom, co opadną.

— Czy naprawdę znikną liście,
co się jarzą tak ogniście?
Piękna jesień, co łśni, świeci,
też odleci?

— Tak, odleci w ciemny wieczór,
kiedy okna się rozświecą,
a wiatr zimny będzie wiał.

— A co potem?
— Potem? Nic nie powiem o tym.
Przyjdzie zima. Będę spał.

MARIA CZERKAWSKA

Na szerokim, pustym polu
cztery wiatry dziś swawolą.
Z czterech stron przybiegły
skoro,
krzepko się za bary biorą.

— Ja od morza. Ty od Tatr.
Silny wiatr. Twardy wiatr.
— Ja od Sanu. Ty od Odry.
Ja błękitny, a tyś modry.

Który z nas piękniejszy wiatr —
Jeden piękny, drugi mocny.
Ten zachodni, ów północny.

Wschodni znany junak, chwał.
Lecz majwyżej skacze w górę,
szarpie niebo orlim piórem
ten spod Tatr,
halny wiatr.

MARIA CZERKAWSKA

Pieśń Słwana

W isło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje?
Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich lzy padają? Lud
u brzegu ręce łamie i ratunku woła, a ratunku nie ma...
Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy, to pochłonie, co po-
chwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od
ryku. Kiedy syty dyszy w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc
i dzień spoczynku nie ma — pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu
goni z trwogą... Trzody wypenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci,
a nigdy pastwy niesyty, ciągle ryczy, ciągle dyszy.

— Czymże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebije,
pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dionie i piorun
go nie zabije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie przykryje.
Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, duma, brodę zwija, podparł
się i patrzy w ziemię. „Jak mam pożreć tego smoka, jak potworę
tę umorzyć?” Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli
trzeci, a smok ryczy... Rady, rady! Płacze, ręce załamuje. — Jak
mam pożreć tego smoka, jak potworę tę umorzyć.

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztopia, aż Krak
Skubę wołać każe.

— Skubo, człeczce, rób, coć rzekę; zabij wołu, owcę zabij,
wnętrznosci wyrzuć do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki na-
bierz palącej, a węgli nabierz czerwonych. Wypchaj ściervo siarka,
smołą podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij zaryczy z głodu.
Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrznosci przepali.
Niech pęknie dzika potwora.

Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu
owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera: —
Naści strawę, żmiju-smoczce — polyka straszna paszczęka, ryknie,
aż drży góra cała i gród z stołbami się chwieje. W smoku palą się
wnętrznosci, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka,
leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadał cały i rycząc rozpukł
i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii strasznej ucina,
na żerdź go wtyka wysoko.

— Patrzej, narodzie mój miły, że się tve męki skończyły.
— Ptacy niosą wieść wesolą, wiatry polami z nią biega, niech
rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech
dzieci idą na łąki — nie ma już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze gród się kamienny podnosi, tam Krak
króluje spokojny, na cztery strony spoziera, cztery zwojował naro-
dy. A broda rośnie mu siwa i już mu piersi zakrywa, już i do ko-
lan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi, król wie, że umrzeć mu
pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów
ma już u boku i córkę Wandę ma jedną. Broda dorosła już ziemi.
— Przyszła już na mnie godzina; weźcie królestwo na dwoje.
Siostrze dać królewskie wiano i życie w braterskiej zgodzie. Płacz
po swym ojcu, narodzie. — Naród zapłakał i ciało niesie na górę
Lassotę, na stosie go posadzili, tryznę z obiata sprawili, popioły
Kraka zebrałi, każdy wziął po garści ziemi, szli i sypali, dopóki
mogila w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem.
I Krak ma ziemi połowę, i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na
brata z trwogą: „starszy mi kark zganiecie nogą”.

— Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierza dzikiego, jedźmy
razem w puszcę ciemną... będziemy gonić jelenie, będziemy zabijać
niedźwiedzie.

Siedli na koń, siostra z wieży prosi:

— Nie jedźcie na łowy — krucy dziś krakali rano i sen miałam
w nocy krwawy. Weźcie czeladź, weźcie z sobą, zwierz jest dziki,
las jest czarny.

A Krak śmieje się i rzecze:

— Zwierz i las niestraszny dla nas.

Aż w puszcę ciemną wjechali — wtem młodszy staje i rzecze:

— Tutaj ci, bracie umierać, ja całe państwo zagarnę. — Rzekł
i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska, i Krak
na ziemię upada. Co tu czynić z ciałem brata? Z ziemi wilcy je
wygrzebią, po trupie poznają ludzie. Mieczem go rąbie na ćwiertci,
tnie go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem bia-
łym przysypuje, nogami ubija ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzyły,
puszcza ich widziała ciemną; księżyc, gwiazdy nie wydały, puszczy
nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknię rozdarł, ręce łamie.

— Biada mi — oto zwierz srogi brata zagryzł w ciemnym lesie.
Krew widzicie na mej szacie, bom go broniał nadaremno.

Lech wziął po nim ziemię całą i sam panował na grodzie. Na
rozstajach, kędy ciało białym piaskiem przysypało, jasne lilije wy-
rosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom jęcząc powiadają:

— Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła.

Ludzie idą nocą drogą, dziwne głosy słyszą z trwogą, wiatr od-
wiewa Kraka ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna na gród
się zbiera. Niechaj ten, co zabił brata, idzie z ziemi na kraj świata,
kędy oczy go poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała.

— Ona będzie nam królową.

— Jak mam być królową waszą, kiedy bogom ślubowała, że
meza nie będę miała?...

Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa, naród
śpiewa i wykrzyka:

— Córka Kraka niech panuje.

Na granicy, na rubieży Niemiec siedzi jak lis w jamie, wieść do
niego szybko bieży: dziewczka siedzi na stolicy, wianek ma miasto
korony, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana nie ma.

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbranny kraj, na wojnę. I sta-
nęłi na granicy, i śle posły do dziewicy.

— Mężem twoim chcę być, Wando, lub tve ziemię ogniem, mie-
czem przejdziem, spalim i wysieczem.

Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą tarcze,
chrzesczą bronie. Przyszły posły. Wanda staje.

— Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie
wojny? Wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa.

Posły poszły, wojska płyną, pola wnet, góry obsiadły. Wanda
z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Pa-
trzej Niemcze, licz swe siły. Pojrzał Rytgar, kędy były, ani śla-
du, ani slychu, pierzchno wojsko w lasy, góry. Sam się został Ryt-
gar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przesywa,
królujże, Wando, szczęśliwa. Zwycięska wraca królowa... I na gród
swoj naród woła. Wysła z wianuszkami w czoła, w sukni białej,
z kwiatkiem w dłoni.

Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie godzina, życie-mi
bogom ślubowała. Na raz oddam im je całe, niż o rękę bić się mają
ci, co ziemi pożądata. Wiedźcie mnie do Wisły brzegu, nad głębinę,
nad wir wielki. — Rzekła i w Wisłę się rzuca. Naród płacze swej
królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę, i pieśń o niej
wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje — a pieśń przy mnie niech zosta-
je...

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan Stanisław Sz. z Łodzi

Zagadnienie chrztu niemowląt omawialiśmy już tutaj kilkakrotnie. więc obecnie dla Pana i wszystkich przeciwników takiego chrztu poświęcamy tylko kilka uwag.

1. Według starokatolickiej (katolickiej i prawosławnej) teologii sakrament chrztu nie jest po prostu ceremonią wpisania do rejestru członków danego Kościoła, nie jest też tylko zobowiązaniem do przyjęcia całej nauki Chrystusa i do naśladowania go. Te dwa motywy wchodziły do nauki o chrzcie św., ale nie są najważniejsze. Najważniejszym motywem zmuszającym do przyjęcia tego sakramentu jest konieczność usunięcia skutków, jakie spadły na każdego człowieka w wyniku grzechu Adama i Ewy (grzechu pierworodnego). Skoro niemowlę bez swej wiedzy i swego udziału zostało objęte skutkami owego grzechu, może również bez swej wiedzy i swego udziału zostać uwolnione od tych skutków. Kto wierzy z jednej strony w istnienie skutków grzechu pierwszych rodziców (każdy chrześcijanin wierzyć w to powinien) a z drugiej strony wierzy w życie pozagrobowe (też prawda wiary chrześcijańskiej) — ten nie może zaniedbać losu swego dziecka, zwłaszcza że wiele dzieci umiera przed dojściem do pełnego używania rozumu.

2. W sprawach życia doczesnego (żywienia, higieny osobistej, leczenia chorób, ubrania, dobrych manier, no i wykształcenia) rodzice nie tylko nie pytają dzieci, ale często postępują wbrew ich woli, poglądom i zachciankom. Jako nierozsądną wysmiano w szpitalu matkę, która wołała do chirurga by jej a nie choremu dziecku operował ślepa kieszka („bo ono jeszcze nie rozumie”). Dlaczego w sprawach życia wiecznego wierzącym rodzicom odmawiać tego prawa?

3. Przez chrzest nie dzieje się niemowlęciu (jak i dorosłemu) żadna krzywda i to na pewno. Ludzie wierzący słusznie mniemają, że wręcz odwrotnie, przez udzielenie chrztu św. niemowlęciu wyświadczono wielkie (największe nawet) dobrodziejstwo zwłaszcza gdy groziła mu rychła śmierć.

4. Dzieci nie zostały wyłączone przez Chrystusa od obowiązku przyjęcia chrztu (Jan 3,3). Apostołowie chrzcili całe rodziny (Dz. Ap. 10, 44; 16, 14; 18, 33) a więc i dzieci. Pierwsi pisarze chrześcijańscy zalecali chrzest dzieci. Ireneusz z Lionu (zm. ok. 202 r.) pisał ogólnie: „Chrystus przyszedł wszystkim zbawić, wszystkich mówię, którzy przez niego bywają odrodzeni dla Boga: niemowlęta, małych, chłopców, młodzieńców i starszych” (Przeciw hebr. 2, 22, 4).

Niemowlęta przyjmujące chrzest a będące potomstwem chrześcijan wierzących mają zapewnione wychowanie w wierze chrześcijańskiej. Dorośli odpowiadają za losy ich wiary w późniejszym życiu, więc dorosłym wolno odpowiadać przy ich chrzcie twierdząco na pytanie: „Czy wierzysz...?” Oczywiście dorastający młodzieniec czy panna z zasady buntuje się przeciwko wszystkiemu, co wymyślili (dla jego dobra) ludzie dorośli, więc buntuje się często również przeciwko wierze chrześcijańskiej. Któż jednak odważy się zawyrokujeć: Nie wychowujemy swo-

ich dzieci, bo i tak nie wiadomo, czy nie wyrosną z nich chuligani?

Te uwagi mogą (jeśli Pan zechce) przekonać, że nie ma podstaw „święte” oburzenie się na chrzest niemowląt.

A co do dalszego korespondowania z nami, prosimy pisać śmiało, często, lecz krótko. Dziękujemy za pozdrowienia i wzajemnie pozdrawiamy.



Pan Władysław Kozłowski z Wałbrzycha

Opowieść o Zesłaniu Ducha Świętego na Apostołów nie jest „legendą”, lecz faktem historycznym. Możliwe, że w wielu wierzeniach pogańskich „znacznie starszych od chrześcijaństwa” występuje pod opisem zwykłego „wiatru lub tchnienia” zwykle „wyobrażenie ducha lub duszy”. Możliwe też, że w średniowieczu palenie w nocy ogni oraz skakanie przez nie wypadało akurat „w wigilię Świętego Zielonych”. Jednakże nie możemy się dopatrzeć tutaj żadnego związku pomiędzy różnymi wierzeniami pogańskimi o wietrze i skakaniu przez ogień a historycznym faktem Zesłania Ducha Świętego w dzień Zielonych Świąt.

Zielonych Świąt wcale nie wymyślili chrześcijanie. Było to stare święto żydowskie. I Zesłania Ducha Świętego nikt z chrześcijan nie wymyślił, ponieważ to wydarzenie dopiero zapoczątkowało istnienie Kościoła i chrześcijan. Z całkowitej przemiany duchowej Apostołów z ludzi tchórzliwych i ograniczonych w odważnych i rozsądnych działaczy religijnych wynika, że musiał zaistnieć jakiś obiektywny, realny wstrząs. Ze względu to na cud, to co innego. Chrześcijaństwo wierzy w cuda, oczywiście te biblijne. Zresztą warto zapytać, czy samo istnienie i wzrost chrześcijaństwa (zwłaszcza w trzech pierwszych wiekach) nie było cudem. Ale to już przekracza ramy tej rozmowy. Pozdrawiamy.



„Rzymskokatolik” z Raciborza

— Pański list jest dowodem, że ani z rzymskokatolicyzmem ani z chrześcijaństwem w ogóle nie ma Pan nic wspólnego.



„Świecki — nie kapłan”

— dziękujemy za apel i modlitwy. Radzimy zapoznać się dokładniej z historią Kościoła, a przekona się Pan, że nie tylko pycha i złość kierowała organizatorami Kościołów chrześcijańskich, niezależnych od Rzymu.

Pragną korespondować:

— Krystyna Piotrowska, Kalisz 1, ul. Śródmiejska 32 m. 4 — najchętniej z młodzieżą polonijną w USA.

— Henryk Tykałowicz, l. 27, samotny, p-ta Ortel Książęcy, pow. Biała Podlaska (zbiera widokówki, znaczki)

P. Marek Warszawa — dziękujemy za słowa uznania. Otwarcie czytelnicy na razie niemożliwe ze względu na brak lokalu, ale niewykluczone w przyszłości. Prosimy o utrzymanie z nami kontaktu. Pozdrawiamy.

Płock — (niestety, nie mogliśmy odcyfrować nazwiska) radzimy pisać do Nacz. Biskupa w Scranton. Sprawę organizacji parafii na tamtejszym terenie zajmuje się Ordynariusz Warszawski.

J. Sosnowski — dziękujemy za słowa uznania i pozdrawiamy.

Czytelniczka z Łukowa — Pani życzenia postaramy się spełnić. Terminu podać na razie nie możemy. Pozdrawiamy.

JESZCZE SĄ DO NABYCIA

Mroki rozjaśniają się 10.—zł

(wspomnienia z zakonu o.o. salezjanów)

Nam zapomnieć nie wolno 15.—zł

(reportaże z lat okupacji o bohaterstwie i walce narodu polskiego)

Piękna nasza Polska cała 15.—zł

(zbiór reportaży z wędrowek po wsiach i miasteczkach Polski)

Stosunki polsko-watykańskie w tysiącleciu 12.—zł

(różnie kształtują się stosunki między papieżem a Polską, w minionych wiekach i o tym pisze autor na podstawie dokumentów)

Sprawa Kościoła Narodowego w Polsce w XVI wieku 30.—zł

(mało kto wie, że myśl tę rzucili wybitni przedstawiciele Oświecenia i to jest zagadnienie, które pisarz wypukła w swej książce)

Trzynasty stopień wtajemniczenia . . . 5.—zł

(alkohol i jego skutki, walka z piąństwem i o zdrowie ludzkie zagrożone alkoholem, zdopingowały autora do przystępnego opracowania tego problemu)

Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować na adres:

INSTYTUT WYDAWNICZY „ODRODZENIE” Warszawa, ul. Wilcza 31.

Książki wysyłamy również za zaliczeniem pocztowym.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 22-97-34; 22-34-42. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 28 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 45% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-4-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 12, 19,70 DM, 22,40 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 12, dla Australii 2,10,3 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie” PKO Nr 1-4-147890. Nie zamówionych rekwizytów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.



GARNCARZ Z BOLIMOWA

Dawniej było ich tu wielu, gdyż w pobliżu była dobra nieborowska glina. Dzięki niej też powstała w sąsiednim Nieborowie fabryka fajansów i majoliki. Bolimowscy garncarze toczyli z tej gliny garnki, dzbany i misy, a żydowscy kupcy rozprawdzali je dalej, pod chłopskie i mieszczańskie strzechy. Garnki były ciężkie, masywne. Jedne służyły do gotowania, inne, jak dwójaki, do noszenia jada. Dziś gliniane gary i misy wyparte zostały przez metalowe, ale sztuka wyrabiania glinianych przedmiotów pozostała jeszcze w niektórych regionach kraju, a m. in. tu w Bolimowie.

Garncarstwo bolimowskie reprezentowane jest przez dwóch twórców: St. Konopczyńskiego i Czesława Smełę. Pierwszy wyrabia talerze, dzbany i dzbanuszki, polewane, białe z malowanymi gałązkami i ptaszkami, (są to, jak twierdzi, motywy bolimowskie), a drugi — naczynia nie polewane, proste a zarazem piękne w linii i kształcie.

Odwiedziliśmy St. Konopczyńskiego. Znany jest szeroko w okolicy, a muzeum w Łowiczu zorganizowało w sierpniu 1967 r. wystawę jego wyrobów.

Kiedy więc znalazłem się na rynku w Bolimowie i spytałem mijającego mnie

przechodnia, gdzie mieszka Konopczyński pokazano mi uliczkę i dom, ponad którym unosiła się smużka dymu.

To tam gdzie widać ten dym. U garncarza to się stale pali — powiedział mój rozmówca.

Wszedłem w pustą uliczkę. Minałem stary kościół, gdzie drzwi zamknięte były na kłódkę a z potężnych murów patrzyły w burzliwą przeszłość czarne oczodoły strzelnic i zbliżyłem się do zagrody Konopczyńskich. Jednak dym nie z tego komina unosił się. Mój informator tym razem się omylił. Garncarz dziś nie wypalał dzbanów, zajęty był czym innym. W podwórzu, na które wszedłem, dwoje starszych ludzi, (jak się domyśliłem — małżeństwo) pracowało przy budowie piwnicy.

Tu mieszka St. Konopczyński? — spytałem.

Podobno — usłyszałem odpowiedź.

To pan?

Podobno...

I tak poznałem kolejnego twórcę ludowego. Rozglądałem się po podwórzu i zabudowaniach stojących wokół. Spodziewałem się wiele i przyznam, że trochę się zawiodłem.

Dom nieczym się nie wyróżnia. Zadnych cech tradycyjnego budownictwa określających region, powiedziałbym nawet antymiejski, jakich wiele można spotkać na peryferiach prowincjonalnych miasteczek, gdzie to nawyki wiejskie chłopo-robotnika mieszają się z akcentami miejskimi.

Na zaproszenie gospodarza wchodzę do warsztatu. Przy oknie warsztat, zbitý z desek, jak duża skrzynia tyle że bez bocznej obudowy. Z wierzchu okrągły blat, poruszany nogami i obok krzesło przykryte kocuchem. Na tym to krześle usiadł mój rozmówca i opowiadał mi jak robi się garnki, jak wypala w dużym piecu, stojącym w chałupie i czym jeszcze zajmuje się poza wyrabianiem glinianych przedmiotów. W warsztacie, na ławach, na podłodze, suszą się i czekają na swą kolejkę w piecu donice, dzbany, talerze. Konopczyński używa gliny, której mu dostarcza Spółdzielnia „Sztuka Łowicka”. Jest on jej członkiem. Gлина nieborowska, jakkolwiek niegdyś służyła do wyrobu fajansów w miejscowej fabryce, okazała się niezbyt dobra. „Tę glinę — mówi mistrz — trzeba szlamować, ma za dużo marglu, lepsza jest glina, którą sprowadza się spod Włocławka.” Każdy przedmiot wypalany jest dwukrotnie; pierwszy raz bez polewy, drugi z nałożoną polewą, na którą składa się tlenek ołowiu, krzem, kreda, kaolin. Naczynia, jak wymaga tego bolimowska tradycja mają polewę białą, po wypaleniu koloru lekko kremowego, z barwnymi rysunkami o liniach lekkich, falistych lub kreskach symbolizujących ptaszka albo gałązkę.

Konopczyński jest garncarzem z dziada pradziada. Dziad jego wyrabiał garnki, misy, donice i dzieże na codzienny użytek.

Ojciec oprócz tradycyjnych wyrobów począł wyrabiać inne, wazony i dzbany ozdobne. W 1911 r. zainteresowało się jego twórczością Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, pod którego wpływem, w garncarskim warsztacie powstawać zaczęła sztuka ludowa; przejął ją jako młody chłopak — dziś 62-letni Stanisław Konopczyński. Przez wiele dziesiątków lat szły w świat wyroby bolimowskich garncarzy. Rozwijający się przemysł powoli wypierał gliniane naczynia i zmusił garncarzy do zmiany profilu wyrobów. Miał garnków i mis, w szerokim piecu szczelnie zamurowanym wypalały się wazony i ozdobne dzbany. W okresie międzywojennym nie miała w tym rolę Towarzystwo Popierania Twórczości Ludowej, z którym ojciec Stanisława utrzymywał ciągły kontakt.

II wojna światowa wywarła swój wpływ również na produkcję garncarza. Niemcy zainteresowali się bolimowskim twórcą, a umiejętności jego wykorzystali w zadziwiający sposób. Nakazali mu wyrabiać urny. Dostarczyli nawet gliny saksońskiej. „I to mi pozwoliło przeżyć — wspomina Konopczyński — byłem aresztowany, ale kiedy dowiedzieli się, że umiem z gliny wyrabiać to i owo, zwolnili mnie, a później jeden z Niemców tak się wyraził do kogoś: Jemu to miało być puk...”

Po wojnie Konopczyński współpracuje z Cepelią, jest też przez pewien okres prezesem Rady Nadzorczej spółdzielni w Łodzi, przez długie lata członkiem zarządu, teraz pracuje dla Spółdzielni „Sztuka Ludowa”, a wolny czas przeznaczona na pracę społeczną. Jest radnym czwartą kadencję, od 33 lat członkiem Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej. Był pierwszym, gdy mieszkańcy Bolimowa w czynnie społecznym zakładali światło i wodociągi. Współdziałał i inspirował wiele innych społecznych akcji, które dały wsi m. in. Dom Kultury ze stałym kinem, dużą salą widowiskową i bibliotekę.

Opuuszczając dom Konopczyńskich doznałem odmiennych uczuć, aniżeli przed wejściem. Wyobrażany garncarz-prymityw uutożsamiał mi się ze społecznikiem, działaczem, rozmiłowanym w garncarskiej sztuce, odczytanym człowiekiem, który wie czego chce i dlaczego kultywuje tradycję swych ojców i w wolne wieczory pisze kronikę swego życia i swej wsi.